№ 40 Piątek, dnia 2 Lipca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA
dnia 20 Czerwca (2 Lipca)
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

TEATRZYKI OGRÓDKOWE.

(K. J.)—Zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić tutaj szeroką gawędę o wpływie sceny na ludzi. Wiadomo bowiem każdemu, że uplastycznienie pewnych prawd daleko lepiej zachowuje je w pamięci, aniżeli suche moralizowanie słowem lub piórem. Od dawnych, bardzo dawnych czasów scena gromadziła zawsze koło słuchających, a autor sztuki przez usta aktorów wypowiadał myśli głębokie, wprowadzał bohaterów, którzy przemawiali, żyli walczyli lub umierali w obronie swoich przekonań. Na scenie powstał podniosły dramat i piękna, pełna groźnego majestatu tragedya; na scenie powstała wesoła komedya, jako ostatni wyraz satyry i dowcipu. A znać, że potrzebnym dla ludzkości był teatr, znać, że musiał jej pewny przynosić pożytek, kiedy przez tyle wieków, przez tyle czasu, w którym jak w kalejdoskopie zmieniały się zdania, pojęcia i potrzeby—on przetrwał niewzruszony, niezachwiany, lecz owszem kształcił i rozwijał z biegiem czasu, stanowiąc zawsze jedną z najmilszych i najpożyteczniejszych rozrywek.

Na zuchwałe deski sceny, schroniły się dwie siostry potężne a piękne, poezya i muzyka. Dwie sztuki zrośnięte że tak powiem z ludzkością, to jest słowo i pieśń. A że w sztuce maluje się społeczeństwo danej epoki, przetoż i na scenie razem z ludzkością różne się zmieniały obrazy. Arystofanes, Sofokles i Plaut, przesunęli tutaj wyniosłe postacie swoich rycerzy, walkę bogów, ludzi i przeznaczeń. Tu Szekspir przedstawił królów-bohaterów, a przy nich gromadę całą ludzi wielkich i ludzi nieponiów; dał obraz duszy ludzkiej we wszystkich jej kształtach od wzniosłej, pełnej miłości i poświęcenia postaci bohatera, do najczarniejszego charakteru człowieka—gadziny, pełnego obłudy, jadu i fałszu. Corneill'owie jeden i drugi, Racine i inni wskrzeszali cienie bohaterów rzymskich, a pod pałacem słońcem Iberyi, śpiewano pieśni miłości i rycerstwa.

Ileż to prawd, ile zdań zdrowych i jędrnych rzucono przez ten czas przed oczy słuchaczów ile wskrzeszono wzniosłych postaci historycznych, przykładów heroizmu, poświęcenia i miłości. Ile wreszcie wystawiono typów koszlawych, niskich, odrażających, wstrętnych nawet i te wychłostano biczem satyry i obrzydzono je w oczach widzów.

Na co wreszcie szukać gdzieindziej, przecież i nasza scena położyła wobec narodu tak wiele zasług, stworzyła dużo sztuk pięknych, pełnych wzniostego natchnienia poety i zdrowego rodzimego dowcipu. Za Poniatowskiego, kiedy teatr polski zaledwie pierwsze kroki postawił, kiedy jeszcze aktorowi trzeba było walczyć z przesądem, kiedy mu odmawiano chrześciańskiego pogrzebu i *komedyantem* z pogardą nazywano, jednem słowem w najgorszych dla sceny warunkach, bez zasiłku, bez pomocy, teatr wzniósł się jednak o swoich siłach i stanął samodzielnie na stopniu, który mu pozwolił zaliczyć się w poczet europejskich teatrów. Nie wiele upłynęło czasu, a oryginalni pisarze dramatyczni zajaśnieli na deskach narodowej sceny, darząc ją dziełami pełnemi prawdy, humoru i piękna.

Bogusławski, ojciec naszego teatru; J. N. Kamieński, Zabłocki, Fredro ojciec, Korzeniowski, aż nareszcie dzisiaj teatr nasz ma repertuar własny i bogaty, nie mówiąc już o tem, że posiada bardzo wiele przekładów zagranicznych arcydzieł. Zdaje się, że w takich warunkach może i powinien odpowiedzieć godnie swemu zadaniu i przynieść publiczności korzyść jakiej społeczeństwo ma prawo po nim wymagać, to jest, krzewienia dobrych zasad moralności i estetycznego smaku.

O ile odpowiada tym warunkom — zobaczymy.

Nie mamy zamiaru mówić o wpływie teatru na całą naszą społeczność w ogóle; w tej chwili idzie nam o wykazanie tego, co znajduje w teatrze klasa pracująca, stojąca na dosyć niskim stopniu oświaty, ta mianowicie klasa, dla której scena może być jednym z lepszych środków rozprzestrzenienia dobrych zasad, i zamiłowania szlachetnych pouczających rozrywek. Co znajduje w teatrze rzemieślnik i jego rodzina, młody chłopiec z warsztaru, dążący w niedzielę do ogródka, i słusznie szukający rozrywki, która mu się za tydzień ciężkiej pracy sprawiedliwie należy.

Przed kilkoma laty tułające się po prowincyi towarzystwo artystów dramatycznych ściągnęło do Warszawy, dając przedstawienia w ogródku; znalazło się mnóstwo widzów, przeważnie z tej klasy o której mówimy—teatrzyk miał powodzenie zupełne. Na drugie lato przybywa dwa towarzystwa, przedsiębiercy wznoszą odpowiednie budowle, znajdują się już obszerniejsze sceny, wygodniejsze krzesła, daszki ochronne od deszczu — wreszcie ogródki takie weszły w zwyczaj i stały się niemal jedną z niezbędnych potrzeb letnich. Tysiące osób napływa do tych przybytków sztuki, z którą umiejętna ręka spekulacyi umiała połączyć przybytek czysto przemysłowy, a przedsiębiorcy robią dobry interes.

Kto z nas nie widział, jak w tych ogródkach w niedzielę szczególniej ludno i gwarno. Wejście niedrogie, to też i napływa publiczność, która się lada farsą zachwyca, a zadowolenie swoje bez ceremonii donośnym głosem i stukaniem objawia.

Cały niemal świat rzemieślniczy Warszawy przychodzi tam wieczorem i bawi się aż do północy.

Jakąż potężną broń mają w ręku dyrektorzy tych teatrzyków, ileż dobrego mogliby zrobić wystawianiem pięknych a moralnych sztuk swojskiego repertoaru. Ta sama publiczność która dzisiaj aplauduje kankanowi, przysłaby słuchać ładnej sztuki Fredry, przysłaby z pewnością, gdyż ona nie wybiera ale bierze to co jej dają, gdyż ona spragniona jest rozrywki, gdyż szuka jej po tygodniowej ciężkiej pracy w warsztacie.

Trzeba tylko zrozumieć korzyść swego położenia, trzeba przyjść do tego przekonania, że teatr nie powinien mieć za jedyny cel *robienie kasy*, lecz mieć także na uwadze i pewne inne względy doniośléjszego trochę znaczenia. Trzeba zrozumieć, że sztuka nie powinna być sługą browarów — jak to dzisiaj się dzieje w ogródkach. *Kasa może być* zresztą *zrobioną* i w inny sposób. Nie potrzeba bowiem koniecznie wędki francuskiej do łowienia publiczności; a dowodzenie, że na porządną przyzwoitą sztukę nikt do teatru nie przyjdzie, jest błędnem. Przecież *Halka* nie jest płodem francuskiej muzy, a jednak gromadzi w Tivoli niemałą ilość widzów.

Prasa niemal codziennie występuje przeciw tak zwanym Offenbachiadom, ale głos jej jest w tym razie głosem na puszczy; czasem zdarzy się spotkać w ogródku, jakby przypadkiem zabłąkany lepszy utwór sceniczny, wystawiony jakby dla tego, żeby dowieść, że wystawienie takiej sztuki jest możebnem, a na drugi dzień patrzysz, a na afiszach figurują: „Córka pani Angot", „Helena", „Sinobrody", „Czuła Struna" i tym podobne arcydzieła, które na błotnistym wyrosłe gruncie, koniecznie pragną na zdrową naszą rolę przesadzić.

Gdzie szukać przyczyny takiego wypaczenia? Dyrektorowie odpowiadają, że stosują się do gustu i wymagań publiczności. Ale panowie ci mówią nieprawdę.

Nie publiczność to winna, ale ci właśnie, którzy na nią winę składają, ci winni, którzy z godnym lepszej sprawy zapałem popularyzują i tak już nadto popularnego Offenbacha;

którzy systematycznem karmieniem niższych warstw publiczności tworami jego muzy, przyzwyczaili tę publiczność do cynicznych konceptów, rażących skoków kankana, krótkich spodniczek i niesmacznych gestow. Dyrektorowie mówią, że na tych utworach robią dobry interes — zrobiliby go z pewnością i na innych, gdyby chcieli tylko.

A szkoda, doprawdy szkada tych ludzi młodych i nie zepsutych, których systematycznie trujecie moralnie, nie jeden z nich nie umie tabliczki mnożenia, ale zna na pamięć historyą Heleny i Parysa. Szkoda ich, szkoda naszego teatru, którego początek piękny jest i zaszczyt nam przynosi, a obecnie zamiast iść ku lepszemu, grzęznąć zaczyna w błocie niezdrowem i cuchnącem.

Powiecie może, że przesadzamy — przekonajcie się sami. Wejdźcie do warsztatu lub fabryki, jaką piosnką nuci młody pracownik— Offenbacha. Mularczyk nawet na drabinie śpiewa aryą z Sinobrodego, a pędrak noszący piasek, zawodzi na całe gardło kuplet z Czułej Struny.

Śliczny obrazek, jesteśmy jak prawdziwi Paryżanie.

Poczekajcie jeszcze kilka latek, a motywy Offenbacha, będą popularniejsze od pieśni Karpińskiego.

O ESTETYCE

Codziennego Życia.

(Dokończenie).

Miasto to zbiorowisko dzieł ludzkich, to pole tysiącznych zabiegów, walki o byt materyalny, współzawodnictwa, nagromadzenie słabości ludzkich. Wieś to królestwo cudów Stworzyciela wszechrzeczy, to spokój, cisza, to siedlisko skrzętnej pracy, cnót, starych obyczajów, tam ludziom nie tak ciasno, nie potrzebują się spychać wzajemnie z drogi do celów wiodącej, więc zawiść nie wciska się do serca, nie budzą się namiętności. Stąd poczciwa otwartość, prawda w słowach, szczera życzliwość w sercach. Tam natura zawsze młoda, zawsze świeża, potężna ogromem swojej doskonałości a jednak taka wdzięczna, taka urocza. Wśród tego nieskażonego świata łatwiej kobiecie ująć, to cudne piękno, które ją zewsząd otacza, ująć w życie wcielić i tem tchnieniem bożem roztlić domowe ognisko swoje.

Jeżeli w mieście kobieta wyższa z rozumnym i zdrowym poglądem na swoje obowiązki jakie ma względem społeczeństwa potrafi przez połączenie estetyki z życiem praktycznem nieobliczone, jak to wskazaliśmy poprzednio, zdobyć korzyści, o tyle dążenie w tym samym kierunku mieszkanki wsi, równie ważnem lecz lżejszem będzie a nawet powabniejszem.

Na to ażeby pięknem napełnić swoją rodzinną siedzibę niewiele kobiecie wysiłku potrzeba, sama natura tak wspaniale ją w tem wspomaga, tyle tego piękna w około, że dosyć zda się drzwi i okna otworzyć, by się w każdy zakątek domowstwa wcisnęło. Błękit czystego nieba, chóry skrzydlatych spiewaków, na niebieskim przestworze ciemną zielenią rysujące się drzewa, kwiaty swietne barwą a rozkoszne wonią, wszystko to posiłkujące ją czynniki, przy których niech tylko będzie staranie o czystość, ład i porządek, o estetyczne poczucie to już cała siedziba w raj ziemski się zmieni.

Niejednokrotnie widzieć się zdarzy, że młoda dziewica niegdyś marząca, cała w poetycznych uniesieniach, w których ziemi dotykać nie chciała gdy wyjdzie za mąż przechodzi w drugą ostateczność i w zupełności odda się materyalnej stronie życia, dla której poświęci wszystkie swoje prace i zabiegi. Ludzie zwykli na to mówić „zmieniła się i nic dziwnego, oddała się gospodarstwu i zakopała się na wsi,“ ale tłómaczenie to bezzasadne i powierzchowne, gdyż to tylko dowodzi, że w jej sercu nie było prawdziwego uczucia a w skrzywionej główce tylko marzycielstwo i egzaltacya nie zaś poczucie poezyi i estetycznego piękna, w wewnętrznem zaś usposobieniu nad wszystkiem panowała zmysłowa materya, za której popędem poszła skwapliwie wraz z chwilą kiedy ustały pobudki do pozowania. Wieś i praca około potrzeb życia nie zabiją ducha wtedy kiedy ten duch żyje istotnie, owszem pobudzając jego działalność wzmocnią jego siły.

Któraż to młoda dziewica wzrosła pod wpływem trzeźwego kierunku, nie snuje sobie w myśli na temat swojej przyszłości ułudnych obrazków z epoki, kiedy już będzie gospodynią własnego domu, będzie miała to swoje małe państwo, w którem się poczuje królową. Wtedy działa jeszcze tylko jej fantazya opierająca się na podstawie teorji nabytej w domu rodzicielskim, a młode siły rwą się do czynu, którego potrzebę instynktowo uczuwać zaczyna. Lecz kiedy dziewica pokocha, zostanie żoną i stanie nareszcie na progu tego własnego domu, wtedy dopiero zrozumie prawdziwe cele kobiety i poczuje się powołaną nie do władzy i rządów, ale do pracy i poświęcenia. Miłość to życie kobiety, to dzwignia jej ducha, tam gdzie nastrojem i pracą kobiety nie kieruje duch, tam nie ma miłości. Któż kiedy uczył skowronka by z brzaskiem rannej jutrzenki wdzięcznym świegotem niósł w obłoki Panu nad Pany poranną modlitwę dziękczynienia i zachwytu. Któż kochającej kobiecie wskazywał jak uprzyjemnić życie ukochanym i przykrości od nich oddalać; praca jej około codziennych ich potrzeb, to ciągły hymn niewyczerpanego uczucia, to natchnienie z głębi duszy płynące. Możnaż więc wśród zajęcia takiego materyi uledz i dać się nią zawładnąć.

Jednem z przyjemniejszych a wysokiej doniosłości zajęciem kobiety na wsi jest ogrodownictwo, ono to właśnie ułatwia jej by wspólnie z naturą uzmysłowić estetykę swego otoczenia. Możeż być coś bardziej nędznego jak wiejska siedziba bez drzew i kwiatów; a niechby miejscowość była jak najmniej powabna lecz niech tylko się znajdzie kilka klombów umiejętnie umieszczonych, parę drzew ocieniających dach skromnego dworku, a trochę kwiatów rozsianych po trawniku, to zaraz wszystko nabiera weselszego, wdzięczniejszego pozoru. Gospodyni domu więc, która pragnie, ażeby ten jej dom miał powab piękna i miłym był domownikom, tak ażeby wszyscy całą duszą pokochali tę swoję rodzinną zagrodę, najpierwiej weźmie się do sadzenia i pielęgnowania drzew, krzewów i kwiatów. Cierpliwości tylko potrzeba, a trudy te i starania sowicie się wypłacą; któż z nas nie widział jakich cudów w tym względzie dokonywa nieraz umiejętna i wytrwała praca ludzka, jakie to rozkoszne ustronie można sobie stworzyć posługując się roślinnością i kierując nią starannie a z gustem.

Zamiłowanie i praca kobiety w zakresie ogrodnictwa przynosi wielostronne korzyści. Oprócz tego bowiem, że zbliżając człowieka do natury, otaczając go jej bogactwem i szerząc piękno w około, rozwija w nim już od dziecka smak czystej estetyki, więc ze względów moralnych zbawienne wpływy wywiera; ale i ze względów sanitarnych nawet bardzo korzystnie oddziaływa. Któż nie wie czem w czasie skwarów letnich na wsi są świeże owoce, dojrzałe jagody, jak siły rzeźwią, od ilu chorób bronią. A ileż to wygody w domu zapewnić może, w jakie zapasy zaopatrzyć na zimę porządnie i praktycznie administrowane ogrodowe gospodarstwo.

Tak jak w tej gałązi gospodarstwa swego tak samo i we wszystkich innych kobieta na dotąd, o ile nam wiadomo, w języku naszym nie posiadamy podręcznika tego rodzaju popularnie, a zarazem gruntownie i ze znajomością rzeczy opracowanego.

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Każdy niemal tydzień w tej porze roku ma w Warszawie sobie tylko właściwe charakterystyczne cechy i znamiona. I tak, po tygodniu ogródkowych teatrów, w którym następuje otwarcie tych przybytków sztuki — no i bawarskiego piwa, idzie tydzień wianków i fantowych loteryi—dalej tydzień jarmarków i wyścigów konnych — wreszcie tydzień popisów, egzaminów, aktów uroczystych i wszelkiego rodzaju wizyt generalnych we wszelkiego rodzaju i wyznania szkołach i ochronach. Sprawozdania z tego wszystkiego dostarczają pismom codziennym obfitego materyału do zapełnienia łamów, w których przy zbliżającej się już porze ogórkowej, coraz mniej spotykamy wiadomości istotną posiadających do niosłość. Dlatego też nie chcąc powtarzać tego coście już, czytelnicy, gdzieindziej czytać musieli, nie podamy wam żadnych szczegółów o tegorocznych egzaminach, a ograniczymy się tylko na tej ogólnej uwadze, że daleko mniej młodzieży wyszło w tym roku ze średnich zakładów naukowych z patentami z ukończenia całkowitego kursu, aniżeli to miało miejsce w latach zeszłych. O akcie uroczystym w Warszawskim Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych, powiemy słów parę w następnym numerze naszego pisma.

W dalszym ciągu wydawanego nakładem S. Arcta, księgarza w Lublinie: Systematycznego kursu nauk, przeznaczonego do pomocy w wychowaniu domowem dla dzieci od lat 3 do 15—ukazała się nowa praca p. Augusta Jeskego. Mamy tu na myśli *Pedagogikę* obejmującą zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dziatek, którą rzeczone wydawnictwo w ostatnich czasach wzbogacone zostało. Nowa ta praca p. Jeskego, składa się z czterech części: pierwsza obejmuje wychowanie moralne, druga—wychowanie fizyczne, trzecia—zasady nauczania (dydaktykę), czwarta — wykład nauk (metodykę). Dziełko to, zasługujące na obszerniejszy krytyczny rozbiór, tymbardziej jest pożądanem, że

Pan Józef Krzykowski, były sędzia apelacyjny, obecnie emeryt, zapragnął wzbogacić niwę humorystyczną i dlatego rozpoczął wydawnictwo „Powieści i anegdotek z pisma humorystycznego Fliegende Blätter“. Ukazał się arkusz pierwszy, który obejmuje, oprócz przedmowy tłómacza, szósty z obrazków wiejskich E. M. Vacano p. n.: *W przepaść*; powieść talmudyczną p. n.: *Trzy rady króla Salomona*, i wreszcie osiem anegdotek. Z pierwszego arkusza trudno wydać sąd stanowczy, widać zeń jednak dobre chęci tłómacza, który o ile mógł starał się niemieckie dowcipy i w swoim przekładzie utrzymać. Cena tego zeszytu oznaczona na kopiejek sześć, jest rzeczywiście przystępną.

W Tivoli u pana Grabińskiego niezwykłem powodzeniem cieszy się *Halka* Moniuszki, wystawiona tam w całości i to z godną uznania

wsi ma otwarte pole do połączenia materyalnego pożytku z pięknem i myślą dażnościową; a oprócz tych wpływów, jakie wywierać może na życie rodzinne i charakter swego kółka; ileż ma dróg jeszcze do tego, by stała się pożyteczną jako obywatelka kraju na polu ekonomicznem. Wieleż to rzeczy wchodzących w zakres gospodarstwa kobiecego może przyswoić krajowi z tych co są już wprowadzone i wydoskonalone na obczyznie.

Poprawna hodowla zwierząt domowych jakże u nas łatwa i wdzięczna. Skrzętna Niemka co produkcye swoje wysyła na wystawy powszechne tak mało ma miejsca do rozprzestrzenia swego gospodarstwa, że gdy jej kura przez płot przeskoczy to sąsiad wytoczy jej proces za naruszenie cudzej granicy, a u nas gdzie spojrzysz to twoje, jakież obszerne łany bujno porosłe są do twego rozporządzenia. Alboż to nam braknie materyału budowlanego na zabudowania potrzebne dla wygodnego pomieszczenia się ze wszystkiem?

Szwajcarka parę krów zaledwie trzymać może, a sławę dla swego mleczywa na całym świecie zdobyła; któż z doświadczonych o tem nie wie, że im jest więcej naraz świeżego mleka, tem wszelka produkcya mleczna lepszą być może. My na setki krów wypasów mamy; dlaczegóżby i nasze gospodarstwo mleczne nie mogło stanąć do współzawodnictwa i zjednać sobie ogólnego uznania, a tym ważnym produktem żywności rozszerzyć krajowego przemysłu?

Ktoś może zechce zrobić zarzut, że nasza rodzima roślinność nie ma w sobie tyle pożywnych części jak tam gdzieś za górami. Ale zostawiwszy specyalistom rozwiązanie stanowcze kwestyi o ile nasze pastwiska gorsze są od holenderskich i szwajcarskich; jako profanka nieśmiało zapytam jednakże, czy ta polska ziemia nasza, co pszenicy dla pól Europy dostarcza nie rodzi nam tak jak tamta cudza lucerny, esparcety, marchwi pastewnej i t. p.

A gdyby to chciano założyć u nas szkołę postępowego kobiecego gospodarstwa, gdzieby młode nasze dziewice uczęszczać mogły i zgłębiać, a przyswoić swojemu krajowi rozwój cudzoziemców na tem polu. Gdyby nasze kobiety dla rozszerzenia działalności w tym względzie chciały zawiązywać z sobą jakieś zjednoczenia, stowarzyszenia i t. p., przejęłyby się może ważnością swojego zadania i nauczyłyby się poważnie traktować kwestyą swoich prac około codziennego życia i nie lekceważyć jej; bo przekonałyby się, że rozwiązana pod wpływem trzeźwej myśli, prawdziwego poczucia piękna i zacnych dążności jest jedną z głównych dźwigni bytu społecznego.

Krystyna Narbuttówna.

PARĘ SŁÓW
z powodu tegorocznego jarmarku na wełnę.

Tegoroczny jarmark wełniany w Warszawie ukończył się w ten sam sposób co i poprzednie, wzajemnem niezadowoleniem tak sprzedających jako i kupujących. Pierwsi bowiem niezadowoleni z otrzymanych cen za produkt, które im częstokroć nie wynagradzają całorocznych trudów i zabiegów, drudzy zaś, że nieznaleźli go odpowiadającym zupełnie wymaganiom techniczno-fabrycznym. To wzajemne niezadowolenie nie jest wyłącznie udziałem jarmarku warszawskiego, ale wspólnem jest również i innym rynkom zagranicznym, i znają je w świecie handlowym pod nazwą lepiej lub gorzej wymytej wełny.

W obec bowiem wydoskonalonych dziś procederów wytworczych wszelkich tkanin; a szczególniej rozpowszechniającego się użycia grubszych gatunków mianowicie różnorodnych kortów, przymieszki bawełny, spychanki [1]) sztucznej wełny [2]) i innych surrogatów, kupcy nie tyle co niegdyś zwracają uwagę na cienkość lub barwę wełny, ile raczej na ilość zawartego w niej tłuszczu, którego niejednokrotnie w czasie fabrycznych manipulacyi ubywa 50% i w tym też stosunku zwykli cenić wełnę wystawioną na sprzedaż.

Zwyczaj ustalił, iż wełna wystawiona na sprzedaż jest mytą, bez względu na to, iż czynność ta ma miejsce powtórnie po fabrykach, zanim oddaną zostanie do oprzędu. Właściciele owczarń dopełniają tego albo piorąc runa po dokonanej strzyży, lub też znajdującą się jeszcze na owcach i taka wełna w handlu ceni się nieporównanie wyżej, w skutkach jednakże nietylko wymaga wiele zachodów, w porze chłodniejszej naraża stado na łatwe zaziębienie, a w rezultacie zawsze hodowca ponosi mniejsze lub większe straty. Dopóki bowiem owce nie wyschną zupełnie strzydz ich nie można, gdyż wełna wilgotna zbyt łatwo zagrzewa się, psuje, nietylko w wańtuchach ale nawet na kupach. Dla przyspieszenia jej wyschnięcia, oraz zabezpieczenia owiec od zaziębienia zwykle spędzają je do owczarni, zamykają na czas jakiś, aby się nieco zagrzały, a wełna na nich tym sposobem cokolwiek przewiędła; uważają środek ten za korzystny nietylko dla zdrowia owiec, ale również wpływający skutecznie na czystość wełny z powodu prędszego jej dosuszenia. Powyższy atoli środek następuje skutkiem mniejszego lub większego zapocenia się owiec, przez co wełna nabiera w siebie odpowiednią ilość tłuszczu, który głównie wpływa na obniżenie jej ceny.

Najwłaściwszym przeto środkiem jest pranie wełny, zwłaszcza wyższych gatunków po dopełnionej już strzyży, ale działalność ta powinna się odbywać przez ludzi obznajmionych dokładnie z tą manipulacyą, w przeciwnym bowiem razie, runa się przerywają, nieukładają tak równo, a wełnę daleko trudniej gatunkować. Dlatego też kupcy nie kwapią się zbytecznie do kupna takiej wełny, jako zwykle bez żadnej znajomości przedmiotu przygotowanej.

Pranie jednakże wełny w runach, zwłaszcza pochodzących z owiec cienko-wełnistych nabiera coraz ważniejszego znaczenia, a zarazem i podaż jej na rynkach, wymaga koniecznej reformy. Zwrot bowiem ku hodowli rasy negretti wywołuje tę ewentualność. Owce bowiem tej rasy, pocą się nadzwyczajnie, a intensywne ich utrzymanie, pożywna karma, wydyma wełnę, która następnie napawając się zbytecznie tłuszczem powstającym z potu, twardnieje niemal jak róg, przez co mycie jej na owcach staje się nadzwyczaj utrudnionem. Najwłaściwszym przeto środkiem, oczyszczania tego gatunku wełny jest czyszczenie run za pomocą folowania po dopełnionej strzyży, ale w takim razie nieodstępnym warunkiem jest właściwe jej sortowanie, które znowu nie przedstawia tak znakomitych trudności, ile raczej wymaga fachowego specyalisty.

Wełna bowiem aczkolwiek dostarcza materyału do wyrobu przeszło trzystu kilkudziesięciu gatunków najróżnorodniejszych tkanin, grupuje się jedynie na dwa działy, mianowicie: „karbikowatą czyli gremplowaną, używaną jedynie do wyrobu wyższych gatunków sukien i „czesankę" posługującą do najrozleglejszych

[1]) *Spychanką* zowie się wełna pochodząca ze skór *marlic* (owiec upadłych) jak również i *bitek* (zabijanych na rzeź), jako otrzymywana z odłączania jej od skóry za pośrednictwem drewnianego narzędzia, po dokładnem pierwej namoczeniu skóry.

[2]) Sztuczną wełnę otrzymuje się ze starych do żadnego już użytku nieposługujących tkanin wełnianych, krajek, drobnych odpadków sukna i t. p. Fabryk takowych w kraju naszym jest dwie, jedna w Warszawie pod firmą: Farbsztejn i Klejf; druga w Tomaszowie Mazowieckim pp. Lange i Rozner. (*Przyp. aut.*)

starannością. Powodzenie, jakiego doznaje p. G. powinnoby przekonać panów dyrektorów dwu innych ogródkowych teatrów, że nietylko Offenbach ma magiczną władzę napełniania upragnionym kruszcem ich kas ogniotrwałych. Z drugiej jednak strony nie możemy się dosyć nadziwić panu Grabińskiemu, co go spowodowało do produkowania się w zeszłym tygodniu z *Małym Faustem*, którego w doborowym dotychczas jego repertuarze, ujrzeliśmy całkiem niespodzianie — a co więcej niepotrzebnie.

W teatrze naszym mamy w tym roku niezwykłą liczbę debiutantów i debiutantek; widocznie na brak aspirantów do desek scenicznych narzekać nie możemy. Dyrekcya teatru przyjęła obecnie inny system niż ten, jakiego się dawniej trzymała, dozwala bowiem gościnnych czy próbnych występów z wielką łatwością. Zdaniem naszem system to arcy słuszny i mogący się w skutkach okazać prawdziwie korzystnym. Przy zastosowaniu go, dyrekcya będzie w możności zrobienia wyboru z pomiędzy znacznej liczby współubiegających się— a tem samem wzbogacenia swego personelu osobistościami, które się okażą najzdolniejszemi. Dalej, przy letniej stagnacyi repertuaru debiuty stanowią pewną rozmaitość i ściągają widzów do teatru. Wreszcie i nasi stali miejscowi artyści zyskają nowy bodziec do pracy, bo widzą, że ktoś obcy może przybyć i jeżeli się zdoła podobać, zostać przyjętym. Z pomiędzy dotychczasowych debiutantów wyróżnili się państwo Mikulscy, występujący w dramacie Feuilleta *Montjoye*. Nie są to już debiutanci w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale artyści inteligentni i wyrobieni. Czekamy z upragnieniem na dalsze występy tych zdolnych pracowników sceny, a jeżeli i one równie dobrze się powiodą, o czem wątpić nie należy, to zapewne wkrótce ujrzymy państwa Mikulskich w gronie stałych artystów naszego dramatu.

— O ile dokładna znajomość nietylko gleby, ale szczegółowego uławicenia ziemi, jest jedną z zasadniczych podstaw dobrobytu ogólnego, a zarazem dzielnym środkiem wytwarzania bogactwa publicznego, acz przedmiot ten nie ulega najmniejszemu zaprzeczeniu, jednakże w podobnego rodzaju wiadomości nietylko jesteśmy ubodzy, ale ich zupełnie nieposiadamy. Jako dowód posłużyć nam może Encyklopedya Rolnicza, uchodząca za jedno z specyalniejszych pism agronomicznych, a jednakże między innymi glebę szkalbmierską, proszowską, miechowską, jędrzejowską, stopnicką i sandomierską zalicza do jednej kategoryi i na mapie oznaczająca jednym kolorem, nie osłabiając go nigdzie ani nawet wzmacniając; bezwzględnie, iż wymienione okolice zawierają trzy zupełnie odmienne rodzaje ziemi, które przynajmniej na mapie nałożeniem odpowiedniej barwy słabszej i silniejszej wyróżnić należało.

Gleba szkalbmierska ma glinkę lekką, ciepłą i pulchną, w równinach próchnicowatą koloru tabaki, na wzgórzach jasną, ze spodem silnie przepuszczalnym, wapno obficie wchodzi wskład glinek tamecznych, czego dowodem, że esparcety ładnie się udają, a szczypta ziemi wpuszczona do kwasu dobrze zasyczy. Zasiany na próbę łubin, wyrósł na sześć cali, wydał jeden okrągły strączek osadzony u gó-

celów. Przygotowywanie w ten sposób wystawianej na sprzedaż wełny, zasłonić jedynie może hodowców od ciągłych i bezustannych strat na jakie narażają się corocznie, a tem samem wynagrodzić stosowniej ich całoroczne prace i zabiegi.

I. L. Kaczkowski.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg)

Weroneze dużo także malował fresków, z których najznakomitsze znajdują się do dziś dnia doskonale zachowane w pałacu dożów. Odznacza się w nich przedewszystkiem orszak Wenery w sali wielkiej rady. Siwtę bogini stanowią; wieńcząca ją sława, rozgłos, honor, wolność, zgoda, wielkość, pomyślność z licznym orszakiem kobiet i mężczyzn, dzieci, wojowników, trofeów wojennych, wszystko to z niezmierną wspaniałością kolorytu oddane.

Kościoły weneckie również posiadają znaczną ilość obrazów Weroneza niezaprzeczonej autentyczności, ograniczę się na wyliczeniu najznakomitszych. U Ś-go Franciszka di Vigni „Zmartwychwstanie Chrystusa," u Ś-go Jana i Pawła „Narodzenie," u Ś-go Łukasza „Ewangelista" siedzący na byku z Najświętszą Panną w obłokach, u Ś-tej Katarzyny „Zaślubiny Ś-tej Katarzyny z Chrystusem," u Ś-go Sylwestra „Pokłon trzech królów" obraz używający zasłużenie najrozleglejszej sławy z obrazów Weroneza. Wreszcie w kościele Ś-go Sebastyana, gdzie złożone zwłoki mistrza, znajduje się formalne muzeum dzieł jego ze wszystkich epok i przejść tego genialnego malarza.

Jakkolwiek znakomitym był Weroneze mistrzem, jakkolwiek stojąc przed jego obrazami zapomina się o błędach historycznych i wadach układu (w sławnym obrazie: „Gody w Kanie Galilejskiej, główna figura, Chrystus jest prawie niewidoczny, gdyż mistrz umieścił go w półcieniu) nie mniej przeto od niego datuje upadek sztuki weneckiej, któremu śmiało powiedzieć można, że on dał główny powód, wytwarzając nader liczną szkołę naśladowców. Malarze weneccy od Weroneza nie dbają już o ekspresyą i o pomysł, chodzi im tylko o kontrasty, o wspaniałość kolorytu i powoli ze szczytu artyzmu, spadają do rzemieślniczego dekoratorstwa. Zresztą od początku siedmnastego wieku sztuka upada już w całych Włoszech ażeby w końcu XVIII spaść już do najniższych szczebli, z których do dziś dnia się nie podniosła, tak, że ze wszystkich krajów Europy śmiało rzec można, że w ojczyznie Rafaela, Tycyana, Michała Anioła, Vinciego, Reniego i Weroneza najniżej stoi malarstwo.

Po Weronezie zatem wspomnieć zaledwie warto o dwóch szkołach to jest: Bassanów i Piazzetistów, jak również o zdolnych rzeczywiscie artystach Tiepolo i znakomitym pejzażyście i perspektywiście Canalettini.

Szkołę Bassanów, tak nazwaną od miasteczka, z którego pochodzili, wytworzył Jacopo de Ponte, który przyczynił się wielkiemu malarstwu w rodzaju Tycyana i Tintoretta, lecz potem zaczął się brać do obrazków mniejszych z życia rodzinnego i wiejskiego, myśląc głównie o kolorycie, a sam przedmiot zaniedbując. Jacopo de Ponte może być słusznie uważany za twórcę malarstwa rodzajowego we Włoszech, które przed nim nie było tam znane. Zaznaczyć tu jednak muszę, że szkoła Bassanów nigdy tak nisko nie spadła, jak to dziś, malarstwem rodzajowem nazywamy. Życie domowe, pola i łąki nigdy nie były tak pospolicie, tak trywialnie traktowane jak to dziś ma miejsce. Ludzie i rzeczy zachowały pod jasnem niebem Italii, przy starożytnych pomnikach sztuki pewien rodzaj godności, prostoty dawnej, które uszlachetniają i poetyzują szczegóły najpospolitsze i najrealniejsze. Natura sama przybiera za Alpami dziwny pozór wielkości majestatycznej a wsie i lasy wydają się tam jak mówi Wirgiliusz „consule dignae." To też malarze z tej rasy Greko-Romańskiej, wierni tradycyi i wrodzonemu usposobieniu, nigdy stanowczo nie zerwali z ideałem piękności, elegancyi, szlachetności i wdzięku, który im starożytność przekazała. Kto chce się o tem przekonać niech porówna obraz Bassana z obrazem Van Ostade lub Teniersa, albo pejzaże Winandsa i Ruysdaëla z pejzażami Tycyana lub Dominikina, aby zrozumieć jak dalece to co nazywamy malarstwem rodzajowem, wstrętnem jest geniuszowi Włocha i dlaczego to co się tak ogromnie rozwija we wszystkich krajach Europy zawsze dla Italii wstrętnem pozostanie. Jest to ten sam powód, dla którego we włoskiej literaturze nigdy nie spotkamy się z romansem w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Wracając do Bassanów, to rodzina ta była niezmiernie liczna, gdyż sam Jacopo da Ponte miał czterech synów malarzy a tych dzieci znowu dalej, przekazali potomkom manierę dziada swojego. Dziś odróżnić prawie niepodobna, który z Bassanów co malował, a wyróżnia się jedynie założyciel szkoły i Leandro, zdaje się wnuk który i historyczne tworzył kompozycye. Wiele bardzo tych prac znajduje się w akademii sztuk pięknych w Wenecyi a wszystkie muzea Europy posiadają ogromną ich ilość.

Piazzetiści zawdzięczają swoję nazwę Jakóbowi Piazzecie (podpisywał J. B. Piazzetta) żyjącemu w połowie XVIII wieku. Zasadą jego było jak najwięcej czarnego koloru mieć w obrazie a osiągać efekt kontrastem jasnych barw z czarną, w czem szedł niewolniczo za Caravagiem i Guerchinem. Stało się to potem hasłem wszystkich bazgraczy innych narodów, sadzących się na oryginalność. Piazzetta znowu miał kilkunastu naśladowców, tak, że szkoła jego przetrwała dość długo w Wenecyi. Obrazów podpisanych J. B. Piazzetta można oglądać ze dwanaście w kościołach weneckich.

Na lepszą i słuszniejszą sławę, zarobił sobie Tiepolo. Jest to jeden z najbardziej obfitych malarzy weneckich. Pokrył on ogromne obszary murów i płótna kompozycyami w rodzaju Weronezza, a posiadał przytem fantazyą, godną lepszego traktowania, mniej konwencyonalnego i prawdziwego a bardziej świetnego kolorytu. Tiepolo kochał się w barwach szarych i brudnych wywołując niemi jednak często nader ponętny efekt. Jego sposób malowania robił jak nazywają *fanatismo* w Wenecyi i stalowano u niego masę robót, którym podołać nie mógł. Szczególniej malował wiele fresków, z których najpiękniejsze oglądać można u jezuitów „Życie Ś-go Dominika" w kościele podrzutków. W muzeach prawie wszystkich znajdują się obrazy Tiepola.

Ostatnim ze sławnych malarzy Wenecyi był Antonio Canale, przezwany Canaletti znany dobrze i w Warszawie, gdyż bawił tu dosyć długo sprowadzony przez Stanisława Augusta, i pozostawił w Zamku i w Łazienkach, kilka widoków ówczesnej Warszawy. Jest to artysta w najwyższym stopniu dokładny, odznaczający się wielką znajomością perspektywy powietrznej i prawdą kolorytu. Malował przedewszystkiem widoki Wenecyi i kto je widział ten może sobie powiedzieć, że zna Wenecyą najdokładniej, gdyż artysta z przywiązaniem dziecka do matki odtwarzał gmachy i kanały miasta, które niestety, żyło już tylko wspomnieniami świetnej przeszłości.

Obrazy Canaletta znajdują się wszędzie choć najmniej w Wenecyi, jakkolwiek synowiec jego Bellotti tak go doskonale naśladował, że na trzy obrazy przypisywane Antoniemu w ka-

---

ry prostopadle z jednem ziarnkiem. Łubin wapna nie lubi. Udaje się z korzyścią na glinach, ale iłowatych, zupełnie wapna pozbawionych, a najlepiej na szczerkach.

Pszenica sandomierska udaje się doskonale nieustępując prawie oryginalnej, bo też ziemie szkalbmierskie bardzo zbliżają się przymiotami swemi do sandomierskich, żyto wprawdzie często zawodzi, któremu nieporównanie lepiej służą zimne glinki miechowskie. Okolice szkalbmierskie obfitują w pokłady gipsu, którego prawie co mila znadują się łomy, a korzec mielonego, wagi trzysta sześćdziesiąt funtów płaci się od czterdziestu do 50 kopiejek. Włóka ziemi w tych okolicach płaci się od dwóch tysięcy pięćset do trzech tysięcy rubli.

Kto tylko chce przekonać się naocznie o ruchu pasażerów między Radomiem a Warszawą, niech tylko na parę dni zajmie numer w zajeździe Radomskim przy ulicy Twardej, a będzie naocznym świadkiem jak w czterdziestu kilku omnibusach podróżni doświadczają prawdziwych mąk Tantela, tłukąc się w nich na wszystkie strony jak ów legendowy *Marek po piekle*. Obnibusy bowiem Radomskie nie są bynajmniej zbudowane na wzór naszych wehikułów wałęsających się do placu Ś-go Aleksandra, Nalewek lub Grzybowa, ale na model tutejszych furgonów rzeźnickich, w których na spodzie umieszczają zwykle rozmaite paki, kufry, tłomoki i t. p. nieruchomości z przeznaczenia, a na wierzchu pakują dopiero żywy towar zwany pasażerami, zwykle w liczbie kilkunastu osób różnej płci, wieku, stanu, powołania i pochodzenia. Trzydziestogodzinna podróż, w której każdy z podróżnych musi szukać dla siebie pomieszczenia jeśli nie na plecach, to na kolanach najbliższego sąsiada, a każdy bez wyjątku ulokowania własnych nóg, nie chcąc ich trzymać stulonemi pod brodą, jest powodem, iż po przybyciu na miejsce każdy z owych pasażerów wygląda jak ów delikwent średniowieczny, co to przeszedł szczęśliwie wszystkie próby ognia i wody jakiemi doświadczali go oprawcy tak zwanych Sądów Bożych.

Malowniczym jest również wyjazd z miejsca, zapowiadany zwykle przez furmanów punktualnie o godzinie szóstej wieczorem i dlatego najpóźniej już o godzinie piątej stoją zaprzężone konie do owych improwizowanych omnibusów. Zanim wszakże przygotują się do drogi, wypakują różnokształtne paczki, zawiniątka i tłomoki, a żywy towar pozchodzi się z różnych okolic miasta, to i zegar ratuszowy w miejsce 6-ej wydzwoni 12-tą lub pierwszą po północy i trwałoby to zapewne do rana, gdyby w końcu ajenci policyjni formalnie nie wypędzili ich w drogę. Sceny te mają miejsce codziennie z wyjątkiem jedynie szabasów i uroczystych dni żydowskich.

Dziwna to rzecz doprawdy, że okoliczności powyższe nie zwróciły na siebie uwagi żadnego z przedsiębierców tutejszych w celu zaprowadzenia między Radomiem a Warszawą udogodnionych komunikacyi, tym więcej, że kursująca kareta pocztowa nigdy nie jest w stanie zadość uczynić liczbie zgłaszających się w te strony do jazdy pasażerów, nietylko na głównych, ale i pośrednich stacyach. W interesie zresztą ogółu, oraz swych własnych materyalnych korzyści panowie poczthalterowie od dawna powinni byli postarać się o uwzględnienie tych niedogodności.

---

talogu wystawy, co najmniej jeden lub dwa Bellottego być muszą. Na Canallecie kończy się już świetna era weneckich malarzy i od r. 1768 to jest od daty jego śmierci nie spotykamy tam aż do dziś dnia malarza, któregoby wspomnieć warto. Ot ruina we wszystkiem z upadkiem samodzielności kraju! Zobaczymy co wyda połaczenie z Włochami. Skończywszy z malarstwem wspomnieć mi jeszcze wypada o budownictwie i rzeźbie, które jednak tak ściśle łączyły się ze sobą we Włoszech, że rzeźbiarz był prawie zawsze architektem i naodwrót.

Ze znakomitości weneckich w tym rodzaju wspomnieć mi wypada: Filipa Calendario, Antonio da Ponte, Palladio i Sansovino, o innych zaś mówić będę w miarę zwiedzania pałaców i kościołów Wenecyi, do której to wycieczki niedługo czytelników zaproszę.

Historyą Calendaria skreśliłem już po troszę mówiąc o pałacu dożów i spisku Marina Faliera, zresztą smuta to historya. Biedny artysta marzył o swobodzie dla ludu i dla sztuki a skończył jak zbrodniarz po torturach, na szubienicy, ozdobiwszy Wenecyą najwspanialszym i najoryginalniejszym jej gmachem, pałacem dożów. O pałacu tym już mówiłem, a posągi i ozdoby na krużgankach są dziełem Calendaria jak i plan całej budowy.

Antonio da Ponte uwiecznił się budową mostu Rialto, rzuconego w jedną arkadę na wielkim kanale i utrzymaniem pałacu dożów, który Palladio chciał znieść po pożarze w roku 1577. Utrzymują, że do konkursu o budowę mostu Rialto stawał Michał Anioł i Palladio, nie jest to jednak dowiedzionem.

Palladio urodzony we Vicenzy (urzdz. 1518 umarł 1580) nietylko jest sławnym z wielkiej ilości kościołów, teatrów i pałaców jaką zbudował w Wenecyi, ale i z teoryi budownictwa, którą do doskonałości doprowadził. Jak Bramante, Michał Anioł, San-Gallo, San Michelli, Sansovino, rozwinął on zasady Brunaleschiego, Albertego i Rosselliniego lecz udoskonalił je do najwyższego stopnia. Przyjaciel Pawła Weroneze i Tycyana, na pamiątkę właśnie śmierci tego ostatniego i zarazy, która wtedy grasowała, wystawił sławny kościół Santa Maria-del-Salute, z którego Canaletto stworzył jedno ze swoich arcydzieł.

(*D. c. n.*)

O WIETRZE [1]).

II.

Wpływ obrotu ziemi na kierunki wiatrów. — Passat dolny i górny.

Zasadnicza teorya wiatrów, jakąśmy się starali przedstawić czytelnikom, okazuje, że ziemia powinna być bezustannie otoczoną dwiema olbrzymiemi rzekami powietrznemi, z których górna wychodzi z równika, a dolna doń powraca; prąd pierwszy ześrodkowuje się w miarę, jak się ku biegunom przybliża, drugi, oddalając się od nich, coraz się bardziej rozszerza, oba zaś mięszają się bezustannie przez prądy pochodne, schodzące z górnej rzeki powietrznej. Jedyną przyczyną wspaniałego tego ruchu atmosfery jest ciepło słoneczne, a ściślej mówiąc, niejednostajne ogrzewanie różnych okolic ziemi przez słońce.

W rzeczywistości jednak ruch ten jest bardziej zawiły; do powyższej przyczyny łączy się inna, która wielkim prądom atmosferycznym nadaje kierunek odmieny. Według sławnego Halleya, drugą tą zasadniczą przyczyną wiatrów jest ruch obrotowy ziemi. Zrozumienie tego wpływu wymaga znajomości pewnych zasad mechanicznych, które pozwalamy sobie tu bliżej rozpatrzyć.

Kiedy jeździec pędzi galopem, każdy zrozumie, że dzieli on prędkość swego konia; podobnie, podróżny siedzący w wagonie, lubo nie zwraca na to uwagi, posiada niezmierną prędkość wagonu, która jest prawie taką, jakąby ten podróżny posiadał, spadając z drugiego piętra. Ziemia obraca się około swej osi od wschodu ku zachodowi w ciągu 24 godzin, i my się z nią obracamy. Podczas gdy nam się zdaje, że jesteśmy nieruchomi w Warszawie, jesteśmy w rzeczywistości unoszeni jak jeździec przez swego konia, jak podróżny przez lokomotywę, z tą jedynie różnicą, że jesteśmy unoszeni daleko prędzej, z szybkością niemal 300 metrów na sekundę. Powietrze również jest porywane ruchem ziemi, gdyby bowiem było nieruchomem, biczowałoby nas w twarz, zdawałoby się nam, że pędzi w kierunku przeciwnym z szybkością 300 metrów. Byłby to wiatr siedm razy silniejszy od najstraszniejszego uraganu, jaki znamy, zdolny unosić zwierzęta i drzewa, obalać domy i gruchotać góry.

Przypuśćmy teraz, że koń nagle się zatrzymuje; jeździec niezawodnie spadnie przez głowę konia i chyba tylko z nadzwyczajną zręcznością i wysileniem zatrzymać się zdoła. Przypuśćmy jeszcze, że podróżny chce zejść z wagonu w czasie biegu pociągu—będzie wyrzucony naprzód z prędkością, jaką cały pociąg posiada i zabije się na miejscu lub porani śmiertelnie. Nakoniec, gdyby ziemia nagle się zatrzymała, wszystkie na niej znajdujące się przedmioty szłyby dalej od zachodu ku wschodowi i zdawałyby się wyrzucone z szybkością 300 metrów, jaką posiadały poruszając się z ziemią. Powyższe uwagi streszcza mechanika w następny sposób: „Każdy przedmiot, który posiada prędkość w pewnym kierunku, zachowuje takową, nawet, gdyby przedmioty sąsiednie ją straciły, i zachowuje ją nieokreślenie, dopóki jej nie zniszczą opory obce." Wspomnimy nawiasowo, że zasada ta znaną jest w mechanice pod nazwą bezwładności.

Aby zastosować tę zasadę do naszego zadania, wyobraźmy sobie balon wznoszący się w górę nad poziom Warszawy. Przy wyjściu posiada on też samą prędkość, która unosi ziemię ku wschodowi, i gdyby powietrze było jak najzupełniej spokojnem, balon pozostawałby wciąż nad Warszawą, opisując jak ona okrąg koła w ciągu 24 godzin. Gdyby ruch ziemi się zwolnił, balon, zatrzymując pierwiastkową swą chyżość, wyprzedziłby Warszawę i poszedł ku wschodowi, na Pińsk; gdyby odwrotnie, prędkość ziemi wzrosła, aeronauta pozostałby w tyle, jakby się odsuwał ku zachodowi, na Poznań.

Ale, jeżeli różne punkty ziemi opisują okręgi kół w ciągu 24 godzin, opisują je bardzo nierówne. Biegun pozostaje nieruchomy, dalsze okręgi są tem większe, im punkta je kreślące są bliższe równika; szybkość przeto ruchu oddzielnych miejsc ziemi musi wzrastać w miarę, jak się posuwamy ku równikowi. Pod 60° szerokości każdy punkt ziemi przebiega 231 metrów na sekundę, pod 45° 327, a na samym równiku 463 metrów. Jeżeli przeto przypuszczalny nasz balon nie pozostaje nad Warszawą, ale posuwa się ku północy, to napotyka miejsca coraz mniejszej chyżości, początkową więc swoją prędkością wyprzedza je, posuwa się coraz bardziej ku wschodowi, tak, że toruje sobie drogę między północą a wschodem, jakby pochodził z przestrzeni między południem a zachodem, czyli przybiera kierunek południowo-zachodni. Gdyby zaś powyższy balon oddalał się od nas ku południowi, natrafiałby na miejsca ziemi coraz szybciej się poruszające, pozostawałby za niemi w tyle, odsuwałby się wciąż względem nich ku zachodowi, tak, że wydawałoby się tam, jakoby ten balon przybywał nie wprost z północy, a z przestrzeni między północą a wschodem, czyli miałby kierunek północno-wschodni.

Otóż, coby miało miejsce z tym urojonym balonem, dzieje się rzeczywiście z powietrzem, jak to wypowiedział Halley, półtorasta temu lat z górą. Prąd równikowy, wiejący ku biegunowi, coraz bardziej traci kierunek swój czysto południowy, coraz bardziej zbacza ku wschodowi i do szerokości wyższych przybywa jako wiatr południowo-zachodni. W podobnyż sposób wiatr biegunowy, wiejący z północy, w miarę jak się zbliża do równika, coraz więcej zbacza ku zachodowi i w okolice zwrotnikowe przybywa jako wiatr północno-wschodni.

Rozumowanie powyższe stosuje się do półkuli północnej ziemi; podobnież rozważanie nauczyłoby nas, że na półkuli południowej prąd biegunowy przechodzi we wiatr południowo-wschodni, a prąd równikowy we wiatr północno-zachodni.

Nie należy jednak teoryi powyższej brać z całą bezwzględnością. Wyobraźmy sobie pewną masę powietrza, przenoszącą się z równika, gdzie szybkość obrotu dziennego wynosi 463 metry, pod 45° szerokości, gdzie ta szybkość jest znacznie mniejszą, 327 metrów na sekundę. Szybkość zatem poruszonego powietrza przechodziłaby szybkość ziemi o 136 metrów i dałaby się uczuć jako wściekły uragan wiejący ku wschodowi; w podobny sposób powietrze, przenoszące się pod równik z tej średniej szerokości, sprawiałoby tam również rozpasaną burzę przesuwającą się ku zachodowi. Rozszalałemu takiemu naciskowi wichrów ziemia cała oprzećby się nie zdołała. Na szczęście nic podobnego nie widzimy, powietrze jest w ogóle spokojnem i wyjątkowo tylko wiatry stają się dla nas groźnemi. Równowaga bowiem powietrza przywraca się bezustannie przez opowiedziane już wyżej prądy zstępujące, jakie spływają z prądu górnego w skutek jego oziębienia i osłabiają szybkość prądu dolnego, biegunowego, tak, że ostatecznym wynikiem tych działań są wiatry słabe, nie zbyt szybkie, jakie rzeczywiście ziemię przebiegają. Niemniej, wybitny ten kierunek wichrów zasadniczych daje się dostrzedz.

Prąd dolny występuje zwłaszcza wyraźnie w okolicach zwrotnikowych; na półkuli północnej wieje tam wiatr *stateczny* północno-wschodni; zowią go też wiatrem *alizejskim* lub *passatem*. Ostatnia ta nazwa pochodzi stąd, że statki żaglowe korzystają z niego dla przejazdu (*passata*) z Hiszpanii do Brazylii. W czasie odkrycia Ameryki passaty nie były jeszcze znane i dziwić się nie można, że towarzysze Kolumba oddani na władzę statecznego tego wiatru, który ich ku nowemu światu unosił, obawiali się, że do ojczyzny wrócić nie zdołają. Dla przybysza ze stref umiarkowanych, gdzie zaburzenia w atmosferze tak są powszednie, stateczność tameczna jest uderzającą. Hiszpanie nazwali część zwrotnikową oceanu Atlantyckiego *el golfo de las damas*, morzem damskiem, z powodu żeglugi tak tam niby łatwej, że i najsłabsze ręce mogłyby sterem kierować. Varenius, mówiąc o passatach oceanu Spokojnego, wspomina, że żeglarze odpływający z Acapulco w Meksyku mogą spokojnie zasypiać, nie troszcząc się wcale o ster statku,

---

[1]) W Nr. 37 na str. 297 popełnionym został błąd mimowolny, — płomień świecy ustawionej na ziemi zwraca się ku pokojowi, płomień zaś świecy trzymanej w górze kieruje się ku sieni, — jak to zresztą łatwo objaśnia dalszy wywód rzeczy.

gdyż wiatr unosi ich bezpiecznie i pewno ku Filipinom.

Nie tak bezpośrednio jak passat dolny, północno-wschodni, może być dostrzeżonym passat górny, południowo-zachodni. Passat ten górny w okolicach zwrotnikowych zaczyna się dopiero na wysokości 7 do 8 kilometrów nad poziomem morza, gdyż szczyty Kordylierów są jeszcze całkowicie pogrążone w passacie dolnym; obecność wiatru górnego wiejącego w kierunku przeciwnym zdradza się jednak biegiem delikatnych chmurek, unoszących się w ogromnej wysokości. W większych szerokościach geograficznych passat górny, oziębiony, obniża się już tak dalece, że przesuwa się po szczytach i bokach gór. Leopold Buch podaje, że podróżnicy wstępujący na słynny Pik Teneryfy (Pico de Teyde), znajdują się u stóp góry w pośrodku passatu północno-wschodniego, przechodzą następnie warstwę powietrza spokojną, obojętną, a nakoniec napotykają wiatr południowo-zachodni, tak silny, że z trudnością oprzeć mu się mogą; górny ten passat rozpoczyna się dopiero, jak podaje astronom Piazzi Smith, na wysokości 2,740 metrów,—tamto, w tych szerokościach geograficznych (30°), przypada średnia granica obu passatów.

Niejednokrotnie jednak passat górny w niespodziewany zgoła sposób zdradził swą obecność. 1-go maja 1812 r. niezmierna ilość popiołów zaciemniła atmosferę ponad wyspą Barbadoes, a gruba ich warstwa grunt jej pokryła. Wiatr alizejski północno-wschodni wiał tam z całą siłą; można było tedy chyba przypuszczać, że popioły te pochodzą z wulkanów odległych Azorów, położonych na północo-wschód; tymczasem wyrzucone były przez krater Morne-Garou na wyspie Ś-go Wincentego, położonej o 200 kilometrów na zachód: siła wybuchowa wulkanu rzuciła popioły w warstwę atmosfery, w której już panował passat górny i ten uniósł je we własnym swoim kierunku, przeciwnym temu, jakiego doznawali w dolnych warstwach powietrza mieszkańcy wyspy. Podobnież, w czasie straszliwego wybuchu wulkanu Conseguina w Ameryce środkowej, w styczniu 1835 r., niezmierne masy popiołu uniesione zostały przez passat górny aż na brzegi Jamajki, odległe na 1,300 kilometrów od wulkanu, tak, że niebo ponad całą wyspą się zaciemniło, a morze w około pokryte było kawałami pływającego pumeksu.

Prawidłowe te, stateczne, regularne wiatry, zgodne z opowiedzianą wyżej teoryą, właściwe są jednak tylko okolicom zwrotnikowym; skoro je przejdziemy, wchodzimy w obszar wiatrów zmiennych, które u nas chorągiewkę na dachu czynią oznaką niestałości, a które nam teraz rozpatrzeć należy.

St. Kramsztyk.

APTECZKA DOMOWA

opracował:

St. W. Łukowski,

(Dalszy ciąg).

Przedewszystkiem, wypada tu wspomnieć o nadmiernej *suchości skóry*, zwykle zależnej od zmniejszonego wydzielania tłuszczowych i potnych gruczołów, a w wielu razach, od niedbałego postępowania ze skórą. Suchość ta, bywa połączona z nieprzyjemnem uczuciem natężenia, stwardnienia, nierzadko i zimna, oraz z łatwem schodzeniem naskórka,—i zdarza się głównie w chronicznych chorobach skórnych i miejscowych potach. Dla usunięcia jej, wystarcza często powtarzane wcieranie łoju, po uprzedniem obmyciu skóry ciepłą wodą z mydłem. Kobiety z delikatną i cienką skórą, która pod wpływem chłodnego, mroźnego powietrza, łatwo staje się suchą i pęka, oraz praczki i sługi, mające często do czynienia z ługiem i mydłem,—wogóle osoby z twardą, suchą, pękającą skórą na rękach, powinny wieczorem dobrze nacierać sobie ręce łojem, a idąc spać, obwiązywać je płótnem lub wkładać rękawiczki z miękiego zamszu. Przy suchości skóry pokrywającej twarz, głowę i wogóle wszystkie pozostałe części ciała, należy również nacierać dobrze łojem odpowiednie miejsca.

Wobec nadmiernego *wydzielania potu*, czy to ogólnego, czy miejscowego, wcieranie łoju przynosi także widoczną korzyść. Powiększone wydzielanie potu, nie przejdzie zresztą od wcierań rzeczonych, jeśli jest skutkiem wewnętrznych cierpień. Przy miejscowych, często cuchnących potach, np. nóg i pod pachami, nierzadko po wyparowaniu potów, skóra pęka, staje się szorstką i twardą; podobna skóra ulega często zapaleniu i owrzodzeniu. Wszystkie te zjawiska, znacznie się zmniejszają od częstego wcierania łoju, lecz wtedy tylko, gdy jednocześnie zachowujemy potniejące miejsca w należytej czystości.

Przeciwko *cuchnącemu potowi*, wybornie pomaga przykładanie płótna, posmarowanego gliną, samą lub napół z łojem, albo też płótna zmaczanego w umiarkowanym roztworze kwasu winnego (około jednej części kwasu na 10 części wody). Przy mocnych potach z kwaśnym zapachem, zjawia się niekiedy drobna, swędząca, prosowata wysypka, którą najprędzej można usunąć przez smarowanie łojem.

Przy powierzchowych *zapaleniach skóry*, bez względu czy one są skutkiem przyczyn zewnętrznych czy też wewnętrznych, wielce pożyteczną jest rzeczą smarować chore miejsca świeżo stopionym łojem: utworzy on bowiem miękką warstwę, uśmierzającą ból i przeszkadzającą owrzodzeniu skóry. Do prostych wpływów zewnętrznych, zdolnych wywołać różowate zapalenie skóry, należą: długie leżenie, jazda konno i chodzenie, odpływ ostrych cieczy z przyrodzonych otworów ciała, działanie gorąca lub zimna w wyższym stopniu, oraz ukąszenie owadów. Jeżeli powierzchnia zajęta przez pomienione zapalenie jest znaczna, a chory miał przedtem dreszcze, po których nastąpiło mocne gorąco, ból głowy, osłabienie, słowem, stan gorączkowy, to i w takim wypadku, smarowanie chorego miejsca świeżo stopionym łojem, bywa bardzo pożyteczne. U dzieci, dotkniętych płonicą (scarlatina), smarowanie całego ciała łojem, wyświadcza szczególną korzyść.

Przy stanie bezgorączkowym, rozwijają się czasami na skórze, to stwardniałe pryszcze, to wypełnione jasną lub ropiastą cieczą pęcherzyki; pryszcze te i pęcherzyki, pękając i wysychając, wraz ze swą zawartością, tworzą łuszczki i strupy, pod którémi chora skóra nie przestaje wydzielać jasnej cieczy lub ropy, albo też gryzącej materyi. Tego rodzaju wysypki, występują zazwyczaj na zaognionej skórze, w postaci plam zabarwionych na czerwony lub ciemno-czerwony kolor, pokrytych łuszczką lub strupami. Brzegi owych plam rozszerzają się coraz bardziej i niejako rozpościerają się na skórze. Wysypki pomienione noszą nazwę *liszajów*, którą otrzymały one wskutek zewnętrznego podobieństwa do liszajów drzewnych. Liszaje bywają suche i mokre; według własności wydzielania mogą być: otrębkowate, łuszczkowate, strupiaste i gryzące. Wysypki te przechodzą również najprędzej od użycia świeżo stopionego łoju. Lecz ażeby leczenie uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem, potrzeba koniecznie zmoczyć wprzódy i usunąć łagodnie oraz ostrożnie łuszczki i strupki, a dopiero potem, smarować chorą skórę łojem, powtarzając też samą czynność za każdą razą, jak tylko pokażą się znów strupy.

Swędzenie skóry może być nadzwyczaj dokuczliwem; ogranicza się ono albo do pewnych miejsc (szczególniej w okolicy przyrodzonych otworów ciała), albo rozszerza się po całej powierzchni ciała; otóż w pierwszym i drugim wypadku, łój łagodzi nieprzyjemne uczucie, a niekiedy nawet je usuwa zupełnie. Lecz jeżeli swędzenie pochodzi z ukłócia owadów i wogóle z nieczystości, to przedewszystkiem należy zniszczyć owady (za pomocą szarej maści, szarego mydła, olejuku terpentynowego, lub lawendowego, ostrzyżenia włosów) i oczyścić skórę przez staranne i częste mycie lub kąpiele (obok nacierania jej szarem mydłem) oraz zmianę bielizny.

Użycie świeżo stopionego łoju, jest także bardzo pożyteczne *przy zabarwieniu twarzy*, mianowicie u osób dorosłych (pryszcze, węgry, łojowe i tłuszczowe guziczki); w tym celu, potrzeba wieczorem smarować twarz łojem, a rano wycierać ją miękkiem płótnem, i zamiast mycia, skrapiać tylko ciepłą deszczową lub rzeczną wodą, unikając wody zbyt gorącej lub zimnej z mydłem.

Przy powierzchowych *oparzeniach skóry*, sprawiających jedynie zapalenie (zaczerwienienie z paleniem i bólem miejscowym),—czy też przenikających głębiej i wywołujących pęcherze oraz strupy, przykładanie cienkich szmatek płóciennych, posmarowanych grubą warstwą zimnego łoju, bywa daleko korzystniejszem od wszelkich maści przeciw oparzeliznom wyrabianych. Lecz przedtem można zmniejszyć ból i palenie za pomocą zimna (zimnej wody, śniegu, lodu).

Zapobieganie i leczenie *odmrożenia* członków, daje się również osiągnąć przez smarowanie łojem.

Miejsca *zranione* (ropiejące) na skórze, leczą się bardzo dobrze za pomocą przyłożenia do nich skubanki (szarpi) lub miękkiej szmatki płóciennej, posmarowanych świeżo stopionym łojem; należy jednak poprzednio miejsca te obmyć ciepłą wodą i oczyścić ostrożnie od otaczających je skrzepów i strupów.

Tak więc, w każdym wieku i przy najrozmaitszych cierpieniach powierzchni naszego ciała, świeżo stopiony łój wołowy lub barani, stanowi wyborny środek leczniczy. Tylko naturalnie, zaraz po pierwszem smarowaniu, nie należy oden oczekiwać cudu. Lecz u większej części pacyentów, zwłaszcza dotkniętych długotrwałemi chorobami (szczególniej skórnemi), jest to już w nałogu, że po bezowocnem użyciu różnorodnych lekarstw i kąpieli, po bezskutecznej kuracyi u różnych lekarzy i szalbierzy, wymagają oni, jak od łoju, tak wogóle od wszelkich przyrodzonych środków leczniczych i przepisów dyetetycznych, aby te natychmiast, a najpóźniej w parę dni, sprowadziły zupełne wyzdrowienie, i jeśli takowe nie nastąpi, narzekają na zrobiony im zawód i nierzadko próbują znów nowych środków. Nie trudno pojąć, że podobne postępowanie, o ile z jednej strony jest śmiesznem i pozbawionem rozsądku, o tyle z drugiej,—przynosi niecierpliwym pacyentom prawie zawsze niepowetowaną szkodę!

(D. c. n.)

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

I.

Gdzie to było nie wiem, a sądzę, że i czytelnikowi o to nie chodzi, dość, że to było w którymś zakątku naszej ojczystej ziemi. Ranek czerwcowy zawitał i coraz wyraźniej rozjaśniać zaczął horyzont i na którym coraz widoczniej rysować się zaczęły laski i wioski okoliczne; skowronek co przytulony gdzieś w bruździe w półśnie doczekiwał ranka, porwał się, zatrzepotał i świegocąc ranną pobudkę wzbijać się w górę zaczął wyżej a wyżej, i malał coraz bardziej, aż nakoniec w mgle zniknął. Głos jego wciąż słychać było, a śpiew to był taki rozkoszny, wesoły, jakby i ptaszynie serduszko biło zachwytem na widok cudów stworzenia, i znać mu było błogo w tem niezmierzonem przestworzu, bo znikł w obłokach, a śpiew jego radosny rozlegał się przechodząc w coraz nowe tony, jakby ptaszę wyśpiewać chciało jakąś rozkosz niewysłowioną; bujał tak długą chwilę wśród mgły obłoków, a potem nagle, jakby przypomniał sobie, że tam na ziemi zostawił coś drogiego, zwinął skrzydełka i w gmnieniu oka jak kula spuścił się na dół i zniknął wśród traw kwiecistych. Na wzniosłej topoli zakukała kukułka, kukanie jej niby figlarne a tęskne, niby śmiech z poza łez drgających w piersi rozległo się echem po okolicy i stało się hasłem dla niezliczonych śpiewaków bożych. Hej toż dopiero zagrzmiały chóry dźwięczne i cudne, a takie harmonijne choć tłumne, rzekłbyś, że jakiś mistrz wielki układał je i uczył umyślnie, by nic nie psuło cudownej harmonii stworzenia. Wśród szczebiotu drobnych ptasząt odzywały się to przepiórka nawołująca rozbiegłą dziatwę, to chruściel, co nabiegawszy się przez noc całą po łące, czekał tylko słońca by przycupnąć i spocząć na chwilę. Z dala od wsi dochodził klekot bociana, co się na żer wybierał, to porykiwanie wołów roboczych, które wypędzano na rosistą paszę by się napasły zanim do roboty nie nadejdzie pora, to skrzyp żórawia od studni dawał znać, że we wsi ludzie na dobre ruszać się zaczęli, a kobiety zabierały się do ognia i nastawiania śniadania, bo słońca o mało co już nie widać. Jakoż zerwał się wietrzyk i rozpędzać zaczął tuman mgły rannej; na wschodzie porożowiały obłoczki, niebawem brzegi ich pozłacać się zaczęły, a w trop za tem słońce wyjrzało na ziemię i w mgnieniu oka ubrało ją w światło promienne. Na widok dobroczynnego słońca cała natura, jakby zdwojonem życiem zawrzała, wszystko się żywiej zaruszało, mgły coraz szybciej pierzchać zaczęły a roślinność pokryta srebrzystą rosą zaświeciła myryadem brylantów.

U płotu co otaczał okazałą dworską siedzibę zaskrzypiała furtka prowadząca z ogrodu i wyszły z niej dwie młode dziewczęki takie świeże i jasne, iż rzekłbyś istne uosobienie jutrzenki. Postawy ich wdzięczne i szykowne, a strój choć prosty ale staranny i gustowny, łatwo pozwalały się domyślać, że to były panienki ze dworu. Perkalikowe sukienki, krótko podpięte i nóżki obute w skórzane wysoko zachodzące buciki, świadczyły, że się wybrały na wycieczkę gdzieś w pola, na łąki, nacieszyć się cudnym porankiem. Dziewczątka śliczne młodością i życiem, co im z rumianych twarzyczek tryskały, przestąpiwszy próg furtki stanęły olśnione urokiem zaledwie co ze snu zbudzonej natury; i im znać w piersi zadrgały serduszka niewysłowionym zachwytem, a dusze w zaraniu życia jeszcze będące zlały się w pełną harmonią z porankiem całej natury. Dziewice stały tak chwilę w niemem uwielbieniu; uczucie nieopisanej rozkoszy jaśniało im w twarzy i łezką nieznaczną zwilżyło promieniejącą zrenicę. A pięknyż bo cudnie piękny widok miały przed oczami. Wprawdzie otaczający krajobraz niezadowoliłby może artysty malarza, co szuka jakich fantastycznych wybryków natury, co rad lubuje się zabytkami straszliwych jej przewrotów; on by nie znalazł tu może wzoru do odtworzenia malowniczego, wstrząsającego silnem, terorycznem wrażeniem pejzażu. Okolica to była nie uderzająca wcale nadzwyczajnością żadną, jedna z tych naszych, rodzinnych, równych i noszących cechę spokoju właściwego wewnętrznej i zewnętrznej naturze naszego kraju. Z tem wszystkiem wszakże, właśnie w tym spokoju i prostocie tyle było potężnego uroku i rozkosznego powabu, że człowiek czuł się tu tak błogo spokojnym jakby na matki własnej łonie. Tło-obrazu stanowiły rozległe łąki miejscami jeszcze kwiatami usłane, gdzie niegdzie świeżo skoszone, których prześliczny kobierzec urozmaicony był gęstemi kopcami niezebranego jeszcze siana. Wśród łąki płynęła niewielka rzeczułka srebrnym pasem wijąca się wśród zielonych łanów i zrzadko rozrzuconych klombów krzewistej olszyny. Poza rzeczką znów łąka, a dalej na lewo czerniły się lasy coraz ciemniejsze, coraz znać gęściejsze; na prawo zaś na pochyłem wzgórzu falowały zlekka nieprzejrzane łany ozimego zboża już w kłosie, a takie bujne i gęste, że patrząc na nie serce rolnika aż rosło otuchą. Krajobraz ten ożywiały wioski, których szare domowstwa o słomianej strzesie odbijały żywo na tle zielonem; owdzie wśród klombu drzew wyniosłych błyskał biały dworek niewielki a schludny. Słowem nic tam nie było zadziwiającego nowością, ale to co było, to było nasze prawdziwie nasze i dusza ku temu lgnęła, a serce się radowało, boś żywo czuł, że to wszystko jakby twoja własna rodzina, że i ty stanowisz cząstkę tej ukochanej ziemi. Śliczne dzieweczki, znać w dostatku chowane leniuszki, poraz pierwszy wstały tak rano i dziś dopiero pierwszy raz ujrzały z bliska w całym blasku poranek natury, a pod jego wpływem i ich własne duszyczki młode, może teraz dopiero prawdziwie się rozbudziły; znać obie poczuły jakiś rozświt wewnętrzny, bo na poły z zachwytem i zdziwieniem zapatrzone stały. Uczucia i myśli nagromadzone bezładnie cisnęły się do główki i serca, a taka ich moc, że ani ich rozplątać, ani ich wątku schwycić nie mogły. Pierwszy to raz ujrzały one dzisiaj świat ten tak uroczo prawdziwie pięknym. Pod wrażeniem więc tego uniesienia kształtne i pełne życia ich rysy nabrały jeszcze więcej niewysłowionego jakiegoś wyrazu i blasku, jakby i do głębi ich duszy promień słońca zajrzał, rozświecił ją jasno i opromienił całą ich istność. Obie były sobie równe wiekiem i chociaż rysy ich twarzy różniły się znacznie, był to wszakże ten sam typ familijny. Jedna z nich wyższa cokolwiek, czarnooka, nosiła na wyrazistem czole i w bystrem płomiennem oku cechę rozumu i niespospolitej energii; druga blondynka, w pogodnych, szafirowych oczach miała wyraz spokoju a razem uczuć i myśli głębokich, było w jej spojrzeniu jakieś niezwykłe połączenie czułości ze stanowczością nieporuszoną, coś co zapewniało, że po tej duszy, czy to uczucie, czy wrażenie nie będzie prześlizgało się łatwo, ale raz dotknąwszy gruntu jej serca, wszczepi się w nie na zawsze.

Obie miały rysy niezmiernie kształtne, ale w obecnej chwili przedewszystkiem piękne były krasą lat siedemnastu. Po niejakiej chwili niemej kontemplacyi pełnej uniesienia, której podlegały śliczne dziewczątka, czarnooka pierwsza przerwała milczenie.

— O Boże, mój Boże! jakiż to świat przecudownie piękny, zawołała z najwyższym zapałem, który znać jej się z piersi wyrywał. Idźmyż Anneczko prędzej tam daleko, jak najdalej na łąki, pomiędzy zboża, nad rzeczkę, mówiła z gorączkową niecierpliwością. Anna nie odpowiedziała na to wezwanie, nie kwapiła się jakoś do odejścia i znaczno było, że to co ją tutaj otaczało, co ją tu tak głęboko zachwyciło, wystarczało dla niej i nie rada była rozstać się z tem a gonić za nowem wrażeniem, i jakby nie słyszała naglącego głosu towarzyszki, obejrzała się w około raz jeszcze, a potem z niewypowiedzianem rozrzewnieniem, co odbiło się na jej twarzy, wyciągnęła rączki przed siebie w dal, jakby w jednym uścisku chciała objąć to co ją otaczało i przytulić do serca, które uderzyło gorącą, dotąd nieznaną miłością, a tak wielką, że świat cały objemować się zdawała. Wanda, takie było imię brunetki, ubiegłszy już tymczasem kilka kroków naprzód, obróciła się i znowu zawezwała Anny, która opuściła rączki i prawie z żalem poszła za Wandą. Jej tu było tak dobrze, stąd uwielbiać piękno i kochać je mogła, po cóż więc miała spieszyć dalej? Dziewczęki w mgnieniu oka odbiegły het daleko, na łąki i lekkie, wesołe brodziły po rosie wśród kwiatów, zrywały je strojąc niemi okrągłe słomiane kapelusze, które wzięły na czas kiedy już słońce przygrzewać zacznie, a teraz przewieszone na wstążkach, przez ramię spoczywały na plecach, bo rączki zajęte były to unoszeniem fałdów sukienki, to kwiatkami, które skąpane w mgle rannej, aż zda się prosiły, ażeby je w bukiety układać.

Anna i Wanda były to siostry, lecz nie rodzone, jakby to każdy nieznający ich właściwego stosunku mniemał, sądząc z pozorów, ale cioteczne tylko. Pomylić się w tem łatwo byłoby i niedomyśleć, nawet bywając w domu państwa Gasztołdów, których Anna była jedyną córką, a Wanda wychowanką i ukochaną od obojga siostrzenicą; najmniejszej różnicy dostrzedzby nikt nie potrafił, tak obie zarówno były swobodne i otoczone czułą troskliwością, a i wzajemny stosunek obu był taki serdeczny i naturalny, że widocznie same nawet zapomniały łatwo, że nie jednej matki są dziećmi.

Matka Anny i matka Wandy były siostrami i prawie jednocześnie wyszły za mąż za dwóch młodych obywateli z sąsiedztwa.

Dotąd jeszcze w naszym kraju pomimo wszystkich naleciałości zachodniego kosmopolityzmu, ludzie całą duszą kochają swoję rodzinną zagrodę i chyba ciężką koniecznością wyrwać się z niej dają, a ta przechodząc z ojca na syna przez kilka, ba! i kilkanaście nieraz pokoleń pozostaje w posiadaniu jednej i tejże samej rodziny. Tym sposobem mieszkańcy całej okolicy związani są z sobą węzłem, może i poważniejszym nawet niż pokrewne, bo wspólnej tradycyi, wspólnych kolei dobrych i złych losów, jakie tę część kraju nawiedzały. Może być coś bardziej pięknego, jak ten stosunek prawie familijny, jaki u nas utrzymuje się dotąd jeszcze pomiędzy mieszkańcami niektórych okolic, osiadłych od wieków przez te same rodziny. Tam jeszcze, przodkowie dzisiejszego pokolenia zestosunkowani wspólnem życiem i interesem publicznym, żyli z sobą wści-

słej zażyłości sąsiedzkiej, dzieląc z sobą razem czy to uciechy, czy smutek, tak publicznego jak prywatnego życia; więc czy to weselne gody, czy stypa pogrzebowa, czy sejm lub narada obywatelska, wszystko to zarówno gromadziło sąsiadów i coraz silniej zaciskało ten węzeł solidarności, który z pokolenia w pokolenie przechodził. Zwady, jeżeli i bywały jakie, a nie bywająż one pomiędzy rodzinami nawet, to wszakże ani zawzięte nie są, ani długo nie trwają, bo zaraz znajdą się sąsiedzi, przyjaciele, co zwaśnione strony zbliżą, pogodzą, a powaśnieni łatwo sobie przebaczą urazę, przeproszą się wzajemnie, bo i im samym żal byłoby targać stosunki odwiecznej przyjaźni, a i perswazyi sąsiadów uledz należy i każdy z powaśnionych powie sobie w duchu: „No niech tam, niech nie mówią, że zgodę odrzucam.“ A zajdzie jakaś kwestya o miedzę sąsiedzką, lub dział familijny, to obie strony podpiszą się na sąd polubowny, uproszą ludzi najpoczciwszych i najpoważniejszych w okolicy, ci sprawę rozpatrzą, osądzą po bożemu według sumienia i serca i sza, cicho— choć może której stronie i zda się czasem, że jej część mniejsza w udziale przypadła, powoli jednak ochłonąwszy z impetu, każdy przyzna, że zawsze lepiej i uczciwiej wyszedł niż żeby się wodził z przeciwnikiem po sądach, za co by tylko ściągnął na siebie krzyk ogólny i opinię pieniacza pozyskał. Tam to prawdziwie dopiero pojętą bywa po chrześciańsku idea wzajemnej pomocy, miłości i współczucia. Kiedy nieszczęście jakieś niespodzianie dotknęło którą rodzinę, wnet zewsząd bywało zlatują się sąsiedzi z poradą i natychmiestową pomocą, kiedy ciężka jakaś choroba kogoś w sąsiedztwie położy, to sąsiadki prześcigają się w uczynności i spieszą z pomocą—więc ta przyjeżdża i dzieci do siebie zabiera, tamta dostarcza różności z zapasów domowych, więc soki, konfitury, owoce, słowem, czem tylko ma, radaby posłużyć; inne znowu zmieniają się kolejno w czuwaniu i tym podobne posługi niosą ze skwapliwością serdeczną. A cóż dopiero powiedzieć, gdy śmierć lub pożar kogo nawiedzi.

Tak to u nas jeszcze do ostatnich bywało czasów, a może gdzie niegdzie bywa i jeszcze. Z żywej prawdy to piszę, bo i mnie Bóg pozwolił w takim szczęśliwym zakątku urodzić się i wychować. Dzięki Wszechmocnemu stokrotne za to składam, bo czuję, że zapas serdecznego ciepła, które wśród tego otoczenia moje serce rozgrzało, do grobowej deski mi wystarczy.

Nie wezmą mi za złe czytelnicy moi, że odbiegnę na chwilę od treści rozpocznającej się powieści, i jako nie zbyt dawnych jeszcze czasów sięgający przykład wzajemnych stosunków sąsiednich i tej pobratymczej wspólności, przytoczę zdarzenie, które w mojej dziecinnej pamięci pozostawiło nie zatarte wrażenie. Raz pamiętam wieczorem, po dniu jeszcze gorącym, a było to pierwszych dni września, cała nasza domowa drużyna zebrana na ganku gwarzyła sobie swobodnie; ojciec po długiej gospodarskiej naradzie, odprawił był właśnie oficyalistów, którzy oddawszy dobranoc, strudzeni, odeszli do swoich mieszkań w oficynie; my oboje z bratem nabiegawszy się do syta, usiedliśmy na schodach i patrzyliśmy na księżyc, co świecił jasno na przekór chmurkom co zabiegały mu drogę i okrywając go mgłą swoją chciały choć na chwilkę przyćmić jego światło; we dworze ruch coraz ustawał i tylko od strony oficyny dochodziły, to słowa głośniejsze kucharza, co się w białej kurtce uwijał około wieczerzy, to śmiech wesoły młodzieży dworskiej, lub dzwięk skrzypiec, na których rzempolił od ucha któryś z chłopaków. Jesień się zbliżała, więc ptastwo umilkło i wcześniej usnęło, a i żaby ucichły, tylko świerszcz po swojemu świerkał nieustannie. Po za nami starsi rozmawiali to o tem, to o owem, kiedy dano znać, że wieczerza na stole, ruszyli się wszyscy ochoczo, a my jeszcze ochotniej niż inni, bo na wsi na świeżem powietrzu, wśród spacerów i wycieczek dalekich jezdnych i pieszych, nie po miejsku się jada, apetyt służy wybornie i po kilka razy na dzień wymaga pożywnego posiłku; nam obojgu zwłaszcza z bratem cośmy już może przez dzień cały kilka mil ubiegli, wieczerza była bardzo na dobie i ledwie, że nie pierwsi znalezliśmy się w pokoju jadalnym.

(*D. c. n.*)

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Kawa jako środek odwaniający** (dezinfekcyjny). Chcąc oczyścić w ciągu kilka minut od razu od zaduchu i nieprzyjemnych a szkodliwych zdrowiu wyziewów stajnię, oborę, mleczarnie, spiżarnię, piwnicę lub t. p. proszkuje się jak najmielej kawa lekko spalona nad wolnym ogniem, wsypuje na faierkę z rozżarzonemi węglami w ilości upodobanej i umieszcza w miejscu zzduszonem. Pokój mieszkalny oczyścić można jedną szczyptą tegoż proszku. Pod wpływem wywiązującego się tym sposobem obficie odoru kawy, nietylko ustępują wyziewy amoniakalne i siarkowe, ale przedmioty przejęte tak silnemi wonnościami jak piżmo, asafedyta, terpentyna, masło zjełczałe i t. p. tracą woń swoję pod wpływem odoru kawy. Nie wypędza on bowiem złej woni, ale ją rozkłada; dowodem tego ta okoliczność, że w miejscach zapowietrzonych odór kawy prażonej na żarze ginie bardzo prędko, gdy przeciwnie w miejscach nie przejętych złemi wyziewami, odór ten długo się czuć daje.

* * *

— **Konserwowanie mięsa.** Najpraktyczniejszym ze wszystkich zalecanych środków, okazał się zwłaszcza w porze letniej polegający na posypaniu mięsa ze wszech stron miałem węgli drzewnych a przez kilka dni zachowa zupełną świeżość zwłaszcza gdy będzie umieszczonem w kamiennem lub porcelanowem naczyniu i przechowanem w chłodnem miejscu.

* * *

— **Masłu zjełczałemu smak przywrócić.** Masło nie przyrządzone właściwie wkrótce nabiera gorzkiego smaku, jełczeje i staje się zupełnie niezdatnem do jedzenia. Najgorszemu atoli masłu można przywrócić smak właściwy mocząc je przez trzy dni w odnawianej wodzie a potem przez dwa tygodnie w wodzie do której dodaje się jedna trzecia część mleka. Mięszanina mleczna daje się świeża raz na tydzień. Po przepłukaniu w paru świeżych wodach, przetopić, a w czasie topienia wypryskać parę razy świeżą zimną wodą, odzyska smak zupełnie dobry i będzie zdatnem do użytku.

* * *

— **Krople od bólu zębów** profesora Wundermann znane w handlu pod nazwą *amerykańskich* składają się z 15% najmocniejszego spirytusu (alkoholu bezwodnego). 35% amerykańskiego olejku z mięty pieprzowej i 50% olejku kajaputowego.

* * *

— **Nowy rodzaj skoncentrowanego i nader pożywnego pokarmu.** Potrzeba jest mistrzynią wszelkich odkryć i wynalazków. W czasie oblężenia Paryża i zmniejszających się zapasach żywności p. Rabuteau wpadł na szczęśliwy pomysł wynalezienia spożywczego artykułu: którym człowiek może się karmić przez wiele miesięcy, zachowując w dobrym stanie swe zdrowie i siły a obok tego nadzwyczaj małym kosztem.

Zważywszy, że na Wschodzie, gdzie ludzie nadzwyczajnie mało jedzą, a wiele kawy piją, jak niemniej w Europie w miejscowościach gdzie wiele kawy piją tam też stosunkowo daleko mniej jedzą, doszedł do tych rezultatów że następna mięszanina może wystarczyć na wielodzienne utrzymanie. Sproszkowanego kakao kilogram (równa się $2^1/_2$ funtom polskim) odwaru kawy pięćset gramów, odwaru z herbaty dwieście gramów i cukru pięćset gramów. Odparowawszy odwary kawy i herbaty, można z nich otrzymać mało znaczącą część wagi suchej tych dwusubstancyi, tak że powyższa mieszanina nie będzie ważyć więcej nad tysiąc sześćset gramów. Wedle czynionych doświadczeń przez p. Rabuteau dostatecznem jest dla człowieka dziennie spożywać tylko pięđziesiąt gram tej mięszaniny, rozrobionej ukropem, która obok tego daje polewkę nie tylko pożywną ale także najprzyjemniejszego smaku. Jeśli zamiast wody użyje się do gotowania mleka a przytem podbitą zostanie jajkami, daleko mniejszy stosunek tej mięszaniny wystarcza, a jeśli obok tego użyje się w dodatku chleba bułek z masłem kartofii, klusek lub kaszy, stosunek ten będzie coraz mniejszym. Wynalazek p. Rabuetau okazał się w skutkach nader praktycznym, a dla klas mniej zamożnych wysokiej doniosłości ekonomicznej i odtąd na Zachodzie powstają fabryki przysposabiające podobnego rodzaju konserwy, wedle zaś doniesień prasy peryodycznej, zakłada się takaż fabryka w okolicach Petersburga pod kierownictwem wynalazcy (*sic*) tej fabrykacyi, szwajcara Grinbacha (?!) [1].

ROZMAITOŚCI.

— **Ogólny dług mocarstw europejskich,** wedle obliczen pp. M. Block i G. Fr. Kolb wynosi około siedemdziesięciu miliardów franków. Suma ta w srebrnej monecie waży przeszło trzysta dwadzieścia kilka miljonów kilogramów, (kilogram tyle co pół-trzecia funta naszego), którą chcąc przewieść koleją żelazną potrzebaby użyć przeszło ośmdziesiąt tysięcy wagonów, ładując na każdy po cztery tysiące kilogramów. W złotej zaś monecie zużytkowanoby tylko pięć tysięcy wagonów.

Długi publiczne, które w bieżącem stuleciu przybrały tak olbrzymie rozmiary, wynikły skutkiem wielkich wojen. Kampania krymska, pochłonęła prawie siedem miliardów franków a wojna prusko-francuska wraz z komuną kosztowała Francyą przeszło jedenaście miliardów.

Opłatę procentów i amortyzacyę tych długów ponosi ogół mieszkańców kraju, które w gruncie rzeczy stanowią dług indywidualny, każdego pojedynczego obywatela kraju, jego potomstwa, obciążają najmniejszy kęs ziemi, wszelką produkcyą, bogactwa narodowe i kapitały. Stopę rzeczonych ciężarów, w ten sposób można ustosunkować licząc w dziesiętnych frankach, na pojedynczą jednostkę: w Anglii 21,50 — we Włoszech 17,64 — we Francyi 16,50 — w Rosyi 4,50.

---

[1]) Wynalazcami są pp. Rabuteau i Joussand, którzy czynili pod tym względem stosowne spostrzeżenia nad górnikami w Charleroi (w Belgii) i d'Anzin a p. Grinbach co najwyżej odkrycie to wprowadził na tory fabryczne.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 19 Іюня (1 Іюля) 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 39).

— Nie wiem. Nie mówiła tego.

— Czy mu przeczyła?

— Nie.

— Czy wcale o mnie nie mówiła.

— Owszem; pytała czy się spodziewam mieć dziś od ciebie wiadomości. Zdaje mi się, że uważa, iż trochę nagle ją opuściłeś.

— Czy ci to mówiła?

— Nie, ale zdawało mi się, że miała to uczucie. Powiedziałeś jej naturalnie gdzie się wybrałeś?

— Dlaczego, *naturalnie?* Nie jest jeszcze moją żoną; nie jesteśmy nawet zaręczeni. Powiedziałem jej, że mnie interesa familijne powołują na dni parę; to wystarczyło.

Arczy spuścił oczy i milczał. Posępność i drażliwość przyjaciela były mu przykremi i dziwiły go. Zdawał się na wszystko i wszystkich rozdąsany. Ukochaną sztukę nazwał nędznym zawodem. Oburzenie jego na pana Alleyne nie było bynajmniej w stosunku z wielkością obrazy. Nawet sposób w jaki mówił o pannie Alleyne nie podobał się Arczy. Według jego prostych pojęć, ludzie prawdziwie się kochający, nie powinni mieć tajemnic jedni dla drugich i chociaż nic o tem nie mówił, czuł instynktem, że ona miała więcej od niego prawa do zwierzeń Debenhama. Wyraźnie coś złego się stało, ale cóż to być mogło?

— Mówiłeś, że miałeś mi pełno rzeczy do powiedzenia, rzekł nareszcie. Kiedyż myślisz zacząć?

— Teraz, jeżeli gotów jesteś słuchać. Może usiądziemy na tym pniu zwalonym i fajkę zapalimy.

Było to to samo drzewo, na ktorem siedział dwa dni temu z panną Alleyne, ale umysł jego był teraz czem innem zajęty i o tamtych chwilach nie pamiętał. Usiedli więc, fajki zapalili i przez jakiś czas palili je w milczeniu.

— Czy przypominasz sobie dzień w którym tu przyszliśmy? zapytał nareszcie Debenham.

— Spodziewam się, rzekł Arczy. Doskonale pamiętam, nigdy mi tak gorąco nie było.

— I łąkę nad rzeką gdzie odpoczywaliśmy a ty usnąłeś.

— Trzykroć błogosławiona łąka i trzykroć błogosławiony sen! Najmilsze mi wspomnienia tych chwil pozostały.

Debenham się zmarszczył; nie miał ochoty żartować i wesołość Arczy niewsmak mu była.

— Nie mogę mieć nadziei, żebyś sobie także przypominał przedmiot naszej rozmowy? powiedział.

— Nie bez pomocy może, ale gdybyś był łaskaw odświeżyć mi pamięć...

— Mówiliśmy o pieniądzach i jak ich się dorobić. Powiedziałem, że radbym zarabiać tysiąc funtów na rok, a ty utrzymywałeś, że człowiek zdolny i starannie wychowany mógł do tego dojść w handlu. Czy sobie przypominasz?

— Doskonale sobie przypominam.

— Byłoż to prawdą, czy też czczą tylko gadaniną?

— Prawdą, największą prawdą.

— Ale jak? jakim sposobem? Nie w kantorze kupca naprzykład?

— Nawet w kantorze kupca, jeżeli przez to chcesz mówić o przepędzeniu całego żywota za stolikiem, z piórem w ręku. Pierwszy buhalter naprzykład lub zagraniczni korespondenci są doskonale płatni. Ale ja nie o tem myślałem, kiedy mówiłem o widokach jakie handel przedstawia ludziom prawdziwie utalentowanym i wszechstronnie wykształconym.

— Cóż więc chciałeś powiedzieć Arczy? zapytał Debenham z taką żywością, że Arczy nagle prawdę postrzegając, wyjął fajkę z ust i spojrzał na przyjaciela.

— Jakto Debenhamie zawołał, czy to być może?

— Tak, może być, odpowiedział tamten prędko ale stanowczo. Zmieniłem zdanie co do tego wszystkiego. Przykrzy mi się być ubogim; chcę pieniędzy; postanowiłem się ich do robić, chociażbym musiał ciężko na nie pracować, bo jestem przyzwyczajony ciężko pracować. Wszystko mi jedno jaka to praca będzie, byle tylko dobrze się opłacała, bo niezadowolę się małem. Wiem co to jest być ubogim, bardzo ubogim, a teraz chcę wiedzieć co to jest być bogatym. Powiedz mi tylko jakim sposobem, wskaż mi drogę, niechaj będzie stromą i ciernistą, im więcej stromą i ciernistą, tym więcej uroku dla mnie mieć będzie.

— Mój kochany, powiedział Arczy, tchu mi nie staje słuchając ciebie.

— Ale sposób, droga, wskaż mi ją! powtórzył Debenham prawie zagniewany.

— Nie można zrobić majątku w jednym dniu, powiedział Arczy; nie ma na to sposobu.

— Wiem o tem, ale gotów byłbym pracować z podwójną energią, w jednym dniu zrobić tyle co w jednym tygodniu, w jednym tygodniu tyle co w miesiącu, w jednym miesiącu tyle co w jednym roku. Gotów jestem z podwójną działalnością używać moich sił umysłowych i fizycznych, działalność tą nawet dziesięć razy pomnożyć jeżeli tego trzeba. Przecież tym sposobem można popchnąć igły na zegarze.

— Tak, jeżeli się tymczasem nie zepsuje mechanizmu, powiedział Arczy, sentencyonalnie. Ale daj mi się przez chwilkę namyśleć, tak mnie niespodziewanie napadłeś, że myśli muszę trochę zebrać.

I oparłszy łokcie na kolanach a głowę na rękach, zaczął powoli i jasno wykładać w jakich szczególnych kierunkach człowiek posiadający wielkie kapitały mógł używać i szczodrze wynagradzać innego z wyższem wykształceniem. Były naprzykład pożyczki zagraniczne, w negocyowaniu których wymagano najdelikatniejszego taktu i gruntownej znajomości różnych języków. Wiele innych było misyi zagranicznych, zasadzających się na usunięciu nieporozumień, na uregulowaniu praw handlowych, na urządzeniu dalekich i trudnych stosunków i t. p. Polityczny zmysł, miał też swoją wartość. Ogromne majątki zrobili w jednej chwili ludzie umiejący rozpoznać widnokręg polityczny i korzystać z każdej zmiany lub jej zapowiedzi. Jednem słowem, chociaż ogólowo tylko mówił Arczy, dosyć powiedział, żeby przekonać przyjaciela, że zdolności jego miały swoją wartość, i że jeżeli świat jak mówi Szekspir, jest ostrygą, mógł mieć więcej nadziei otworzenia jej niż większa cześć ludzi bez grosza szukających majątku.

— Więc na prawdę o tem myślisz? zapytał kiedy długa ich rozmowa zbliżała się ku końcowi.

— Na prawdę o tem myślę.

— Będzie więc handel na miejscu muzyki, pieniądz na miejscu sławy?

— Będzie handel i pieniądz przez dziesięć następnych lat mego życia, może przez dwadzieścia, jeżeli to będzie potrzebnem, a na sztukę i sławę przyjdzie kolej, kiedy będę dość bogatym, żeby módz zadowolić moje upodobania.

— Powiem ci już więc tylko, że się tem serdecznie cieszę, rzekł z zapałem Arczy. Za pomocą muzyki ledwiebyś zawsze zarabiał na życie, i to dając lekcye przez wszystkie dni twojego żywota; w Anglii przynajmniej nigdy nie uważanoby ciebie za gentlemana. Zawsze miałem przeczucie, że z twojemi świetnemi zdolnościami powinieneś zrobić majątek i zrobisz go przyjacielu, zrobisz go.

— Sprobuję, powiedział Debenham, raczej do siebie niż do Arczy.

— A ja będę mówił o tobie z moim kuzynem Hardwickiem, jak tylko powrócimy do Londynu.

— Dziękuje ci Arczy, dziękuję ci; to jest jeżeli się sam nie rozmówię z panem Hardwicke.

— Wstali i poszli razem ku domowi, w milczeniu; obydwa zmęczeni rozmową, obydwa pogrążeni w swych myślach.

Arczy nie mógł się uspokoić tak go dziwiła ta nagła przemiana i pokryjomu, z boku spoglądał na przyjaciela. Im więcej myślał o tem wszystkiem co mówili, tym mniej mógł temu uwierzyć. Co za przewrót! co za zmiana! Zaledwie miesiąc temu, nie było człowieka obojętniejszego na pieniądze i więcej poświęconego swej sztuce jak Debenham, a teraz?... W każdym razie nietrudno było odkryć przyczynę tego wszystkiego; chciał majątek zrobić żeby się z panną Alleyne ożenić. Nic nie mogło być jaśniejszego i nic naturalniejszego. Była to dawna, wieczna historya: miłość—z tą różnicą że miłość, która tylu ludziom rozum odbiera, obdarzyła nim, według Arczy, jego przyjaciela. I uśmiechnął się, myśląc że to była Antwerpska legenda, na odwrót wzięta, bo tutaj kowal nie stał się malarzem, ale artysta dla swej ukochanej poświęcał sztukę i brał się do młota i kowadła. Taką była cudowna siła ładnej twarzyczki.

Ale Arczy się mylił we wszystkich swych przypuszczeniach i wnioskach chociaż tak oczywistemi mu się wydawały. Prawda, że nadzwyczajna zmiana zaszła w Templu Debenham, ale ani miłości, ani pannie Alleyne nie można jej było przypisać.

ROZDZIAŁ XXIII.

Kocha ale odjeżdża.

Pan i panna Alleyne oboje wyszli na przechadzkę, kiedy młodzi ludzie powrócili do *Srebrnego Pstrąga* i Debenham przypomniał sobie, że powinien był list do matki napisać.

— Możesz być pewny, że są z tamtej strony rzeki, powiedział Arczy.

— Gdybyś mógł tam pójść do nich, mój kochany, rzekł Debenham z pośpiechem.

— A jeżeli ich tam spotkam, cóż mam powiedzieć?

— Powiedz, że powróciłem bardzo zmęczony, i... i że mam ważny list do napisania przed odejściem poczty do Chepsow.

— I że tam niedługo przyjdziesz?

— Tak, naturalnie, za godzinę najpóźniej.

Arczy poszedł więc, tajemnie dziwiąc się, że tak nie pilno było przyjacielowi do swej lubej, a Debenham zamknął się w swoim pokoju i usiadł w zamiarze napisania długiego listu do matki. Zadanie nie było jednak łatwem. Czuł, że powinienby wiele powiedzieć a miał ochotę niewiele mówić. Pani Debenham spodziewała się może, iż będzie pisał o ojcu, o zamku, o kościele, o dawnym blasku De Benhamów, a cóż mógł o tem powiedzieć? Przeszłość była przeszłością, a wszystkie myśli jego zwrócone były ku przyszłości; nie mógł nie pisać o tem co zajmowało jego umysł.

—Dwa lub trzy razy zaczynał i niezadowolony, ze swoich słów, rozdzierał list; nareszcie wziął czystą ćwiartkę papieru i nie namyślając się napisał co następuje:

Chillingford, w sierpniu 1860.

Najdroższa Matko!

Mówiłem ci w ostatnim liście, że odebrałem twój, czekający na mnie na poczcie w Monmouth. Od tego czasu byłem w Benhampton. Przykro mi, że tak późno się dowiedziałem o tem miejscu i jego dziejach; przykro mi, że w szesnastu leciech nie wiedziałem o tem co dopiero w dwudziestu sześciu mi jest wiadomem, inaczej byłbym życie moje urządził i dla innych celów pracował. Ale chociaż tak późno poznałem te rzeczy, spodziewam się, że nie zapóźno, w każdym razie nowe życie muszę rozpocząć.

Przypominasz sobie droga matko, ten urywek z Macoulaya, który niedawno czytaliśmy; był to żywot Warrena Hastingsa i opowiada w nim jak, oddaliwszy się od innych, usiadł pod drzewem przyglądając się wszystkiemu co go otaczało i jak w milczeniu i samotności, młody ten umysł postanowił odzyskać stary zamek i obszerne włości? Gdybyś mnie matko była zawiozła do Benhampton dziesięć lub dwanaście lat temu i pokazała mi te groby i te ruiny, byłbym to samo postanowienie powziął i w tej chwili byłbym je może już wykonał.

Ale daremnie myśleć o tem co minęło. Dosyć że jako mężczyzna staję na miejscu z którego Warren Hastings, dzieckiem jeszcze poszedł w drogę życia. Chcę opuścić zawód muzyczny, poszukać sobie korzystniejszego zajęcia i przez wiele lat o niczem nie myśleć tylko o zarabianiu i oszczędzaniu pieniędzy. A wtedy matko spodziewam się widzieć cię zajmującą stanowisko, jakie ci się należy w społeczeństwie, a sam spodziewam się odkupić dawny nasz zamek, odnowić go i godnie nosić imię i tytuł mego ojca.

Lękam się, że ci się to wyda szalonym i nie podobnym do wykonania zamiarem, może mi się niepowieść, ale jakkolwiek jest szalonym i niepodobnym, jemu muszę oddzisiaj poświęcić wszystkie siły duszy i ciała.

Opuścimy Chillingford jutro albo najdalej w sobotę; przyjemne towarzystwo jakie tu zastaliśmy, ładna okolica, doskonałe rybołówstwo już nas blisko trzy tygodnie zatrzymały. Możesz twoje listy odresować do Ross. Zdaje mi się, że powrócę za dwa tygodnie, to jest przy końcu piątego tygodnia naszej wycieczki. Arczy daje mi nadzieje, że będę mógł znaleść zajęcie w City; będę więc rad mieć kilka dni któremi będę mógł rozrządzać przed otwarciem Ś-tej Hildegardy.

Zupełnie się próżniactwu oddaję; nic nie pracuję nad muzyką i nic też nie skomponowałem o czem wartoby wspomnieć. Mała Toccata w dawnym stylu którą ołówkiem napisałem w łóżku jednej nocy, kiedy nie mogłem spać, podobałaby ci się może.

Czas mamy ciągle prześliczny, deszcz kilka razy padał, ale żadnego słotnego dnia nie mieliśm od czasu kiedy wyszliśmy z Chepstow. Arczy jest zawsze najlepszym towarzyszem; jest to prawdziwy wzór dobrego humoru i dobrego serca. Chciałbym, kochana matko, żebyś na tydzień lub dwa we wrześniu wyjechała z Londynu; nie sprzeciwiaj mi się, bo wiesz jak umiem być upartym.

Dochodzę już do końca mojej drugiej ćwiartki, muszę Cię więc na dzisiaj pożegnać.

Zostaję droga matko kochającym

Cię synem.
De Benham.

P. S. Jak widzisz używam mego prawnego nazwiska, ale to tylko dla ciebie. Dla reszty zostaję poprostu Templem Debenham, przynajmniej, dopóki majątku nie zrobię.

Z wielkim pośpiechem, nie zatrzymując się i nie poprawiając, napisał ten list, i z obawy żeby nie być z niego niezadowolonym, gdyby go odczytał, zapieczętował i rzucił go w tej chwili do skrzynki pocztowej. Trudno mu było zresztą inny list napisać w podobnych okolicznościach. Kochał matkę głęboką i czułą miłością, ale nie mógł stłumić uczucia że oddawna powinien był znać tajemnicę swego urodzenia. Był pewny że Lady de Benham działa jak najlepiej wedlug swego zdania, ale był pewnym także iż przekroczyła granice prawa, jakie mają rodzice sądzić o przyszłości swych dzieci. Widząc że ani piędzi ziemi nie pozostało synowi, wnioskowała, że powinien wyrzec się wszelkich przywilejów należnych jego urodzeniu, i wychowała go w przekonaniu, że życie w ukryciu jest jego losem i że nie powinien innego pragnąć. Ale, powtarzał sobie ciągle Debenham, nie miała prawa czynić takich wniosków, a mniej jeszcze działać wedle nich. Byłby powinien znać prdwdę w szesnastu leciach najpóźniej, a miał niewątpliwie legalne prawo poznać ją w dwudziestu jeden. Będąc jej nieświadomym, był rzeczywiście pozbawiony tej swobody w wyborze karyery, jaka jest najdroższym przywilejem młodego człowieka, i tym sposobem zmarnował dziesięć najpiękiejszych lat swego życia.

Nic więc dziwnego, że się czuł skrzywdzonym kiedy myślał o tych rzeczach, i że skrycie się niecierpliwił; byłby nawet do wytłomaczenia, gdyby trochę tej urazy i niecierpliwości w swoim liście okazał. Ale umiał zapanować nad swoim piórem, i jeżeli napisał trochę chłodno, nie wchodząc w szczegóły i wyrażając się z niezwykłą zwięzłością i postanowieniem, jednakowo niepozwolił sobie żadnej wymówki ani gorzkiego słowa. List więc był umiarkowanym i dość serdecznym, i trudno mu było w podobnych okolicznościach inny napisać.

Ale jeżeli potrafił zachować w tajemnicy swój żal i niezadowolenie, był jednak wielce niemi zajęty, jakoteż ważnem postanowieniem jakie powziął. Wielka zmiana w nim zaszła, zmiana której sam miał niezbyt określone uczucie, i którą każdy musiał w nim uważać. Zdawało się, że cała jego natura jakiegoś nowego hartu nabrała; dziwny wyraz surowości osiadał na jego ustach, i kiedy się uśmiechał wyglądało to raczej jako wymuszone wysilenie woli niż jako mimowolne i swobodne wyrażenie zadowolenia. Czuł się także o tyle starszym; patrzał na świat z tak różnego stanowiska; w jednej chwili rozstał się z nadziejami, marzeniami, radościami całego życia i chciał tylko znać najtwardszą rzeczywistość, i czynił to znając wielkość ofiary, wiedząc co go będzie kosztowała, gotów całkowitą cenę zapłacić, pod jakimkolwiek kształtem by się przedstawiła.

— Tak, pod jakim kolwiek kształtem się przedstawi! Powtarzał ciągle od dwóch dni te i podobne słowa; nie żeby przywiązywał do nich jakie szczególne znaczenie, ale dlatego, że samo to powtarzanie zdawało się go uzbrajać do przyszłej walki.

Panna Alleyne zaraz dostrzegła na jego czole cień czy chmurę, których nie widziała nim ją opuścił. Powiedziała sobie, że doznał jakiegoś zawodu podczas swej podróży, i serce jej przepełnione było współczuciem dla niego. Starała się mu je okazać tysiącznemi drobnemi ale pełnemi wdzięku sposobami, przez cały dzień, powtarzając sobie, że pewno zwierzy jej swój smutek jak tylko będą sami, i myśląc jak będzie się starała go pocieszać w tej i w innych przykrościach, jakie mogły mu się wydarzyć. Ale całe popołudnie przeszło i rozstali się przed obiadem nie zostawszy ani chwili sami. Raz tylko mógł niepostrzeżenie ścisnąć ją za rękę, i kiedy p. Alleyne, składajac płótno i farby, zaprosił jak zwykle przyjaciół na herbatę, przyjął to zaproszenie z wejrzeniem okazującem dla kogo mu ono miłem było.

— Jakże to dobrze żeś powrócił, moj kochany—rzekł Arczy gdy usiedli przy zwykłym stoliku w kuchni pod oknem. Okropnie tu nudno wczoraj było bez ciebie. Czy to nie piękny szczupak? — złapałem go wczoraj nad upustem, i nie myśląc że tak prędko wrócisz, martwiłem się że go będę musiał sam zjeść. Bardzo się teraz cieszę, że go nie posłałem Alleynom.

— Jestto prawdziwy Goliat szczupaków, mój Dawidzie, odpowiedział Temple, i doskonale przyrządzony.

Ale chociaż chwalił rybę, zaledwie jej skosztował; nie mógł jeść; umysł jego był niespokojny i wiele rzeczy w kłopot go wprowadzało. Opuścił więc Arczy przed końcem obiadu, i poszedł nad rzekę, gdzie się przechadzał naprzeciw karczmy.

Czy miał wszystko powiedzieć pannie Alleyne czy też nie? Oto co go trapiło. Byłoby przyjemnie jej powiedzieć, i może powinienby to uczynić, ale jakaż z tego dla niej wynikłaby korzyść? Czyby ta wiadomość dodała co do jej szczęścia lub miłości. Nie można było tego przypuszczać, a miło było wiedzieć, że się jest kochanym dla siebie samego. Dlaczegoż zresztą miał ją tak doświadczać? Była bardzo młodą ażeby jej powierzać tak ważną tajemnicę; a musiała ona pozostać tajemnicą głęboką, ścisłą, nienaruszoną. Z pewnością rozsądniej, było milczeć, przynajmniej przez rok lub dwa lata, a tyle rzeczy mogło się wydarzyć przez te dwa lata.

Tak rozważając, przechadzał się dopóki Arczy nie wyszedł, a niedługo pan i panna Alleyne spotkali się z nimi. P. Alleyne jednak kazał sobie wynieść na ganek swoję butelkę wina i kieliszek i palił tam po obiedzie cygaro, gdy młodzi poszli do przystani aby widzieć krowy wracające promem z pastwisk na tamtej stronie rzeki.

— Nie spodziewałaś się mnie dzisiaj, Julciu powiedział Debenham, widząc że Arczy dyskretnie zostawał w tyle.

— Zdaje mi się, że trochę; to jest miałam nadzieję, że wrócisz.

— Odbyłem podróż jak mogłem najprędzej powiedział wahając się, bo..., bo muszę koniecznie być w Londynie za dwa tygodnie, więc....

— Wiem, powiedziała panna Alleyne, a uśmiech igrający na jej ustach, gdy zaczął mówić znikł i cała zbladła, musisz więc wprzódy dokończyć wycieczki. Kiedy myślisz wyjechać?

— Zdaje mi się... że jutro.

Czuł jak ręka opierająca się na jego ramieniu lekko zadrżała, ale nic więcej.

— To się wydaje bardzo nagle powiedział tłomacząc się, ale już trzy tygodnie przepędziliśmy w Chillingford i muszę też mieć trochę względu na Arczy. Co do mnie wolałbym tu cały czas pozostać.

Starała się uśmiechnąć.

— Jestem tego pewna, powiedziała z prostotą, ale tobie zdrowo będzie podróżować. Tak ciężko pracujesz w Londynie, że powinieneś dużo sił nabrać nim powrócisz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.
Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Іюня 1875 г.